

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



FRENKIEL POZUJE LENCOWI  
Z wystawy „Odłamu” w T. Z. S. P.

STANISŁAW LENC

ALEKSANDER CZECHOWSKI:

## Na bezdrożach myśli politycznej.

W społeczeństwie polskim w Prusiech mnożą się od wniesienia ustawy o wyłączeniu objawy prądu, który, pomimo tylu niepowodzeń i rozczarowań, pojawia się zawsze na nowo, jest nieśmiertelny, jak źródło, z którego wypływa, jak lęk słabych przed brutalną przemocą, jak skłonność małodusznych do rezygnacji, jak naiwna ufność zrozpaczonych we wspańałości śmiertelnego wroga.

Szeroki ogół społeczeństwa polskiego, o ile nie zdaje sobie jasno sprawy, to odczuwa instynktownie, że w walce między narodowym interesem polskim a pruskim interesem państwowym, jak go pojmują rząd berliński, nie może być żadnych kompromisów — i pardonu niema. Przyjmuje nowe zamachy i zarządzenia germanizacyjne, jako następstwa tej walki, jako zło konieczne, z którym pogodzić się trzeba. Rozumie, że bez zupełnej kapitulacji uchronić się od nich nie można, ale można i trzeba odeprzeć ataki przez zastosowanie środków odpowiednich. Posiada też dość poczucia swej siły, ażeby wierzyć, że obrona nie jest beznadziejna, i w tej wierze znajduje zachętę do wyjątkowej pracy.

Więc także i ustawa o wyłączeniu, jak i wydany niemal równocześnie zakaz używania języka polskiego na zgromadzeniach publicznych, wywołały wielkie zaburzenie i rozgoryczenie, ale zniechęcenia w kołach szerokich ludu nie wytworzyły. Pobudziły tylko do szukania nowych środków obrony, do pomnożenia sił odpornych społeczeństwa, do usiłowań, aby powetować przewidywane straty korzyściami na innych polach. Stały się podniętą do rozszerzenia warsztatu pracy ekonomicznej, do zdobycia odpowiedniego stanowiska w handlu i przemyśle, do wytworzenia zwartej organizacji robotniczej polskiej, stojącej na gruncie narodowym, do uregulowania wychodźstwa sezonowego w sposób, odpowiadający zarówno interesom szukających zarobku robotników, jak i zagrożonych w swym bycie ziemian polskich.

Istnieją jednak jednostki i grupy lękliwe, cofające się ze zgrozą przed widmem zastraszającej się walki i nieuniknionych z niej ofiar, oraz jednostki przesubtelnione, które zatraciły zdrowy instynkt zbiorowej samozachowawczości. Brak u tych jednostek i grup wiary w siły własne społeczeństwa i w możliwość skutecznej obrony, a nieufność do przyszłości objawia się wśród nich trwożliwym oglądaniem się poza siebie, skłonnością do kompromisów i ustępstw, do szukania ratunku w kapitulacji.

Objaw ten, powtarzający się w odpowiednich okolicznościach wszędzie na kuli ziemskiej, uwydatnił się także w Poznaniu, w sposób bardzo jaskrawy w chwili pierwszego popłochu, wywołanego zapowiedzią nadzwyczajnie surowych środków wy-

jątkowych, w sposób łagodniejszy, gdy przeminęło pierwsze wrażenie, a skłonność do zbiegnięcia na nowe drogi spotkała się ze stanowczym potępieniem większości społeczeństwa.

Stosownie do swego natężenia i do większej lub mniejszej trzeźwości sądu politycznego, nowy prąd zwrócił się w dwóch odmiennych kierunkach.

Z jednej strony powrócono do zarzucanej od lat już kilkunastu pod naciskiem opinii publicznej i pod wrażeniem poczynionych wówczas doświadczeń myśli bezpośredniego nawiązania stosunków z rządem, prześlaniem go przez poczynienie odpowiednich ustępstw ideowych i powstrzymanie go od nowych prób bezwzględnej germanizacji. Wiąca odezwały się zapewnienia lojalności względem państwa i tronu, stanowiące protesty przeciw zarzutom, jakoby lud polski dążył do oderwania się od Prus, głosy przeciw ostremu tonowi w występowaniu prasy polskiej, ujawniły się usiłowania, aby stłumić wywołany zaprowadzeniem niemieckiej nauki religii, kompromitujący Prusy strajk dzieci szkolnych, a wreszcie jeden z posłów polskich, bez upoważnienia Koła, zwrócił się wprost do rządu z propozycją zawarcia pokoju.

Te objawy małoduszności i obawy przed nową ustawą antypolską wywołały rozgoryczenie wśród ludu polskiego, a nie wydały oczekiwanych rezultatów. Ani rząd pruski, ani oddane mu stronnictwa nie przyjęły ręki, wyciągniętej do zgody. Nie przyjęły jej, bo im nie o zgodę idzie, lecz o zwycięstwo, o zupełną kapitulację ludności polskiej wobec pruskiej idei państwowej, bo rząd pruski nie chce, jak oświadczył wyraźnie jego przedstawiciel proszącemu o pokój posłowi Dziembowskiemu, układać się z ludem polskim, lecz podyktować mu swoje warunki.

Po stronie drugiej było daleko więcej poczucia godności własnej i więcej zrozumienia stosunków i względów politycznych, rozstrzygających o zachowaniu się rządu pruskiego. Tam wiedziano, że system antypolski nie jest wynikiem chwilowego rozdrażnienia, lecz płynie z zapatrywań zasadniczych rządu na zadania i przyszłość państwa pruskiego, jest emanacją pruskiej idei państwowej. Tam więc o bezpośrednim porozumieniu się z rządem nie myślano. Ale, oglądając się w braku zaufania do sił własnych za sprzymierzeńcem i obcą pomocą, mniemano, że będzie można zmobilizować przeciw rządowi potężne a poważnione z nim stronnictwo niemieckie, które przed trzydziestu laty, w okresie Bismarckowskim, walczyło z Kołem polskim ramię przy ramieniu w obronie zagrożonych wówczas interesów kościelnych.

Mniemano, że reprezentacja parlamentarna polska w ścisłym sojuszu z centrum katolickim, rozporządzającym setką głosów zarówno w sejmie pruskim, jak i w parlamencie niemieckim, potrafi zdobyć wpływy i znaczenie w ciałach prawodawczych, zapobiegać w przyszłości krzywdom nowym, a wywalczać dla ludu korzyści, jeżeli już nie polityczne, to przynajmniej ekonomiczne.

Na tem przypuszczeniu oparł się głośny w czasach ostatnich program „rozszerzonej pozytywnej pracy parlamentarnej” polskich Kół poselskich w Berlinie, program pozornie bardzo daleki od dążności autorów nowego prądu ugodowego, a jednak w praktyce bardzo do programu neo-ugodowego zbliżony, bo też z tego samego nastroju ducha płynący.

Ażeby pozyskać pomoc potężnego centrum katolickiego, które także w opozycji nie przestało nigdy marzyć o pojednaniu się z rządem i o powrocie do udziału we władzy, trzeba było uwzględnić jego charakter narodowy niemiecki. Trzeba było liczyć się z jego dążeniami i interesami, a przede wszystkim unikać narażenia go na zarzut, jakoby solidaryzowało się z „wrogami państwa”, jakoby popierało politykę, zdaniem rządu, z interesem państwowym niezgodną i do osłabienia państwa zmierzającą.

Wyniknęła stąd potrzeba złagodzenia tonu w wystąpieniach przeciw rządowi, jego polityce, miarkowania się w obronie interesów narodowych polskich, a zaznaczenia uczuć lojalnych względem państwa pruskiego. Słowem, próba przeprowadzenia programu „rozszerzonej pozytywnej pracy parlamentarnej” musiała uwydatnić się na zewnątrz objawami, które nadawały polityce Kół polskich poselskich charakter ugodowy, sprawiały wrażenie zaniku wiary w siły własne i ufności w zwycięstwo i mogły jedynie zachęcić rząd, zdecydowany stanowczo na zupełne zgnębienie ludności polskiej, do zastosowania jeszcze jaskrawszych środków ucisku.

Niewiele nawet brakło do tego, że ten program, pozornie niewinny, byłby doprowadził Koło polskie sejmowe do kroków, na jakie nawet zwolennicy bezwzględnej ugody nigdyby się nie odważyli: do głosowania za podwyższeniem pensji hakatystycznego urzędnictwa pruskiego, a nawet do pośredniego poparcia ustawy o podwyższeniu pensji duchowieństwu, zawierającej przepis, skierowany wprost przeciw polskości.

Na tych bezdrożach myśli politycznej, wytraconej z równowagi ostatnimi aktami pruskiej polityki antypolskiej, bojaźliwi, pozbawieni wiary w siły społeczeństwa i rozpaczający o jego przyszłości, pozostali w osamotnieniu. Pomimo różnice w przekonaniach organów opinii publicznej, ani jedno pismo polskie nie poparło otwarcie dążności do zawrócenia na tory polityki ugodowej, a i te, które oświadczyły się w zasadzie za programem rozszerzonej pracy parlamentarnej, założyły mniej lub więcej stanowcze protesty przeciw objawom, do których prowadziły próby urzeczywistnienia tego programu. Ogół społeczeństwa polskiego w Prusiech jest świadom swego położenia i drogi, którą kroczyć należy.

Nie rozumując, nie oglądając się na nikogo, nie licząc padających ofiar, idzie śmiało naprzód, tam, gdzie popycha go żywiołowa siła popędu życiowego, a potężnego prądu tego życia nie powstrzymają lękliwe głosy, ani chybotliwe eksperymenty polityczne nie wierzących i zastraszonego.



WIOSNA

ZDZISŁAW JASIŃSKI

ADAM STODOR: Z CYKLU: „NA WIOSNĘ”.

## O, BIAŁEM KWIECIEM WIŚNI...

O, białem kwieciem wiśni rozkwiecione sady!...  
Dąży dusza do duszy w miłosnej tęsknocie,  
I wraz obie się łączą w szczęścia jasnym  
złocie...  
Na niebo wyszedł księżyc cichy, srebrno-  
blady...

O, białem kwieciem wiśni sady rozkwiecione!...  
Dusza duszy otwiera skarby drogocenne,  
I wraz troski i trwogi znikają codzienne—  
O, czy wspomnień, przecz-że wracacie w tę  
stronę?

Co minęło, nie wróci... acz co wiosny śniegi  
Kwiecia wiśnie okryją, acz srebrzyście-biały  
Księżyc płynie pomiędzy chmur-perł szeregi...

O sady, kwieciem wiśni ośnieżony cały!...  
Świeciła tarcz księżyc srebrzyście-wybladła—  
I nagle— gwiazda jedna skrząc z nieba  
upadła—

## KASZTANY W WONNE

## ZAKWITNĘŁY KIŚCIE...

Kasztany w wonne zakwitnęły kiście—  
Dusze radosnych przepelne uniesień—  
Ptak miłość śpiewa, szepcą o niej liście—  
Lecz we mnie jesień—

Odurzające w ogrodach jaśminy—  
Rój gwiazd kusząco na niebie migoce—  
Wpiły się usta w żar ustek dziewczyny—  
Lecz we mnie noce—

Wszystko się budzi, żądzą życia duszy—  
Każdy radości domaga się plonu—  
Niech żyje życie, precz, ty smutku mniszy!—  
Ja pragnę zgonu—



## NOC KSIĘŻYCOWA.

Noc księżycowa. Jaśń miesiąca  
Czeremchy kwiat osrebrza biały  
I kiście bzów całuje drżąca...

A w wonnym gąszczu słowik płacze  
Miłośnię, rzewnie, przejmująco—  
Radość swą śpiewa i rozpacze...

A na balkonie w upojeniu  
Na kochanego piersi składa  
Kochanka głowę w rozmarzeniu...

Zapach czeremszyn ją upaja,  
Łkanie słowicze w duszę wnika—  
O, ta rozkoszna słodycz maja!...

A serce jej tak silnie bije...  
A jaśń miesięczna pieści drżąca  
Jej złote włosy, piersi, szyję...

I wraz ramiony go otoczy—  
I nagle ust swych żarne róże  
Wtopi w radosne jego oczy...



TRUBADUR

WACŁAW BROZIK

BOLESŁAW PRUS:

## Dzieci—przyszłość narodów

KRONIKA TYGODNIOWA.

Ogromne istnieją różnice pomiędzy Francuzami a nami, pominawszy nawet język. Francuzów jest w Europie półtrzecia raza więcej, aniżeli nas; zamieszkują jedno z najpiękniejszych i najbogatszych terytoriów w świecie; byli i są jednym z najpotężniejszych ognisk wszechludzkiej cywilizacji; uprawiają wszystkie gałęzie pracy, wiedzy i sztuki; mają niezależny byt państwowy i możność najwszechstronniejszego rozwoju.

Nareszcie Francja jest nadzwyczajnie bogata. W ciągu ostatnich szesnastu lat pożyczyła 16 miliardów franków obcym państwom, a mimo to posiada dziś o 4 miliardy fr. więcej złota, aniżeli przed szesnastoma laty!...

A jednak, pomiędzy nami a Francją, pomimo tylu jaskrawych różnic, istnieje—pod pewnym, bardzo ważnym względem—uderzające podobieństwo: ich byt i nasz jest zagrożony, a dla uratowania się zarówno nam, jak Francji, potrzeba... dużo dzieci... Niemieccy politycy bez ceremonii głoszą, że polska płodność jest dla nich źródłem patryotycznego niepokoju, to znaczy: przeszkadza im unicestwić nas. Z drugiej zaś strony francuska nieplodność poprostu grozi śmiercią temu narodowi, który tylko wtedy będzie miał widoki ocalenia, jeżeli—przynajmniej—podwoi liczbę dzieci, co roku przychodzących na świat.

Parę tygodni temu wspominałem, że, gdy w roku 1820 Francja miała o 4 miliony ludności więcej, aniżeli Niemcy, to już w roku 1850 oba narody ilościowo zrównały się, a dziś państwo niemieckie liczy o 20 milionów więcej

obywateli, niż Francja. Gdyby ilość urodzeń we Francji utrzymała się na obecnym poziomie, państwo to, w ciągu piętnastu lat, straciłoby—według p. A. Messimy—trzydzieści siedm albo i trzydzieści osiem pułków z powodu braku materiału na żołnierzy!...

To też trudno dziwić się, że patryoci francuscy są przerażeni, a p. Paul Margueritte woła: „Wypowiedzmy wojnę alkoholizmowi, wojnę syfilisowi i suchotom!... Ułatwmy małżeństwa i rozwydy, obłożmy podatkiem bezżenców!... Opiekujmy się nie tylko miłością legalną, lecz i wolną. Niechaj prawo o dochodzeniu ojcostwa zabezpieczy istnienie tyśiącom dzieci, rzuconym dziś na pastwę losu i rozmaitych utrudnień”.

My wprawdzie nie potrzebujemy lękać się braku urodzeń, ponieważ w narodzie naszym są one bardzo obfite. Wytwarzanie jednak ludności polega nie na samych tylko urodzeniach, „nie na tem—mówi Margueritte—ażeby siać na oślepie roślinę, która wschodzi, gdzie chce i jak chce, albo więdnie i umiera; lecz na tem, ażeby owe dzieci wychować, wykształcić, dać im cel moralny i cel praktyczny w życiu”.

Otóż nam te rzeczy grożą: śmiertelność nadmierna, brak oświaty, złe wychowanie, brak praktycznych i moralnych celów w życiu. I dlatego wielkie zainteresowanie budzić w nas powinny wszystkie projekty ulepszeń, jakie patryoci francuscy pragnęliby zastosować do swoich młodych pokoleń.

Wspominałem o śmiertelności. Dr. J. Bertillon niedawno ogłosił odpowiedź na pytanie: jakie choroby są najniebezpieczniejsze, w różnych okresach życia? naturalnie—we Francji. I otóż okazuje się, że do pierwszego roku największą część dzieci ginie z powodu dyarii, wątpliwości organizmu i chorób płucnych. Zaś od pierwszego do dziewiętnastego roku największą spu-

stoszeń wyrządzają: zapalenia opon mózgowych, gruźlica, inne choroby płucne i gorączki epidemiczne, jak dyfteryt, odra i t. d. Według tegoż autora niebezpieczeństwo dyfterytu bardzo zmniejszyło się dzięki stereoterapii; tymczasem odra, którą się zazwyczaj lekceważy, jest chorobą wcale niebezpieczną i—dającą się unikać.

Jakie choroby u nas są najniebezpieczniejsze dla wieku niemowlęcego, dziecięcego i chłopięcego? nie potrafię powiedzieć. Zresztą wie o tem każdy lekarz. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewien ohydny gatunek śmiertelności dziecięcej, z którym walczyć powinni wszyscy ludzie uczciwi i rozsądni.

Pewien wieśniak z gubernii radomskiej opowiadał mi: że w lesie, gdzie mieszka, przy gościńcu, w ciągu roku znaleziono trzy trupy niemowląt. Jedno z nich miało nawet cienką bieliznę i smoczek w ustach!...

— Cóż to może znaczyć?—zapytałem.

— Porzucają niemowlęta—odpowiedział.—Może wyobrażają sobie, że ktoś znajdzie biedaka; tymczasem nikt żadnego nie znalazł, i troje umarło...

Czy oceniasz, czytelniku, całą doniosłość tej zbrodni potwornej?... Przychodzi na świat dziecko, tak zwane nielegalne, a więc zbyt czyste. Może ono mieć najzdrowszy organizm, może nawet posiadać iskrę geniuszu albo świętości, ale, ponieważ niewiadomo, „kto je rodzi”, więc rzucają je na śmierć chłodową i głodową...

Sprawa tak zwanych dzieci nielegalnych jest hańbą cywilizacji, hańbą chrześcijaństwa. Sprowadzono je na świat, choć nie prosiły o życie; ale, ponieważ nie mają w porządku metryki, której sobie także nie wydały, więc—skazują je na śmierć, na nędzę, a jeżeli unikną jednego i drugiego, to—przynajmniej na niesławę w dalszym życiu. Bezdenna głupota ludzka!...

A tymczasem każde dziecko jest przede wszystkim—Bożem dziecięciem, rzeczą świętą i kapitałem, który nas chroni od zagłady, a którego brak we Francji, pomimo miliardów złota, usuwa ten wspaniały naród na drugi i trzeci plan w rodzinie ludów ucywilizowanych. Francuzi już się spostrzegli, więc tolerują bardzo dzieci nielegalne. My jeszcze żyjemy wspomnieniami: „kto cię rodzi?”... i dlatego przy gościach spotykają się martwe z głodu niemowlęta. Przecież to, co jest wstępną, zazwyczaj ginie samo, przed pierwszym rokiem życia, bez względu na opiekę; po cóż więc mordować to, co jest silniejsze, albo po co zatruwać życie temu, co już wychowało się i może być dla narodu użyteczne?

Gdy dziecko uniknie śmierci z nędzy z chorób zaraźliwych, albo z ręki morderczej, grozi mu inne nieszczęście: brak opieki, brak wychowania, które pogrąża je w barbarzyństwie, a czasem spycha do gromady dzieci czy młodzieży „przestępnej”. Nie jest to takie rzadkie zjawisko, jakby się wydawało. We Francji, dzięki zasadzie nieukrywania złego przed samymi sobą, opinia publiczna już wie, że istnieją trzynastoletnie prostytutki, trzynastoletni złodzieje, pijacy, włóczęgi i szesnastoletni mordercy. My dopiero zaczynamy dowiadywać się o tem.

„Dziecko przestępne”! Cóż to za straszne zestawienie dwu wyrazów: *dziecko* i *kryminał*—mówi raport Opieki Publicznej w Paryżu.—Są dzieci szczęśliwe i nieszczęśliwe, zdrowe i chore, dzieci, które posiadają wszystko i które nie mają nic, ale—niema dzieci kryminalnych. Nawet te, które oddają do więzień, są tylko ofiarami. Ofiarami dziedziczności, otoczenia, ofiarami ojca alkoholika, albo rozpustnej matki, ofiarami nędzy i społecznego niezdrowia”.

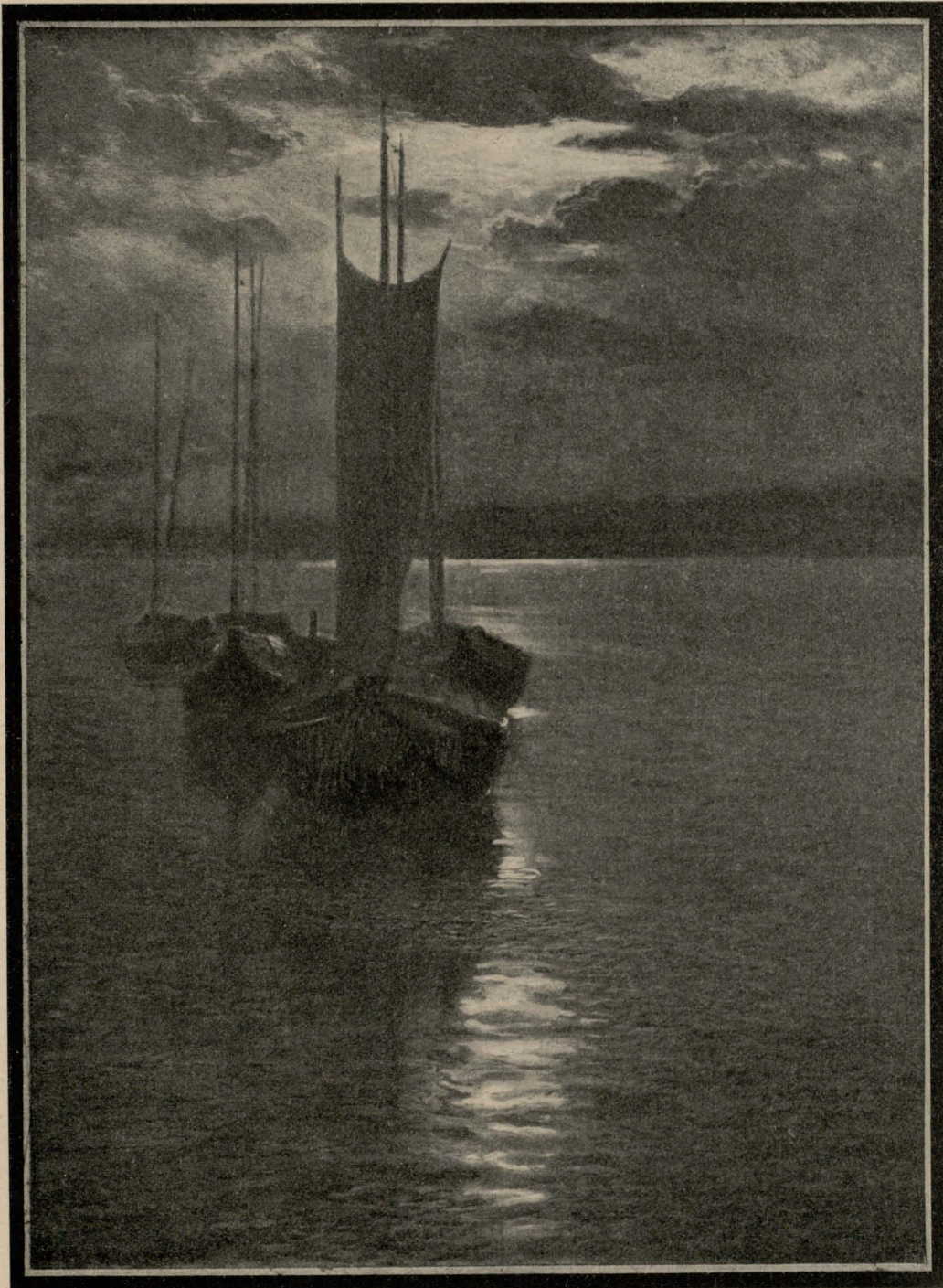
W jakież bo sposób psują się dzieci? Zazwyczaj dzieje się tak, że ojciec idzie do fabryki na robotę, matka również musi opuścić dom, a dziecko, w braku szkoły czy ochrony, wałęsa się po ulicy. Tam nieco starsi towarzysze uczą je naprzód—grać w guziki, czy łańcuszek, potem wymyślać najohydniejszymi wyrazami, potem żebrać lub włóczyć się po najbrudniejszych kątach, a w końcu kraść i władać nożem. Kto więc dba o przyszłość narodu, powinien przyczynić się do opieki nad dziećmi zaniedbanymi, a przede wszystkim do wytworzenia jak największej liczby: 1-mo sal i ogrodów, gdzie mniejsze dzieci mogą bawić się pod jakimś dozorem, 2-do sal, gdzie nieco starsze uczyłyby się łatwych zajęć, np. ślōjdu.

Napozór jest to bardzo mało, prawie nic; w gruncie rzeczy byłby to postęp olbrzymi. Już przy najmniejszym dozoru dziecko nauczyłoby się schludności, a nie nauczyłoby się szpetnych wyrazów, nie nasiąkałoby myślami przestępnymi. A cóż dopiero mówić o nauce krajania, szycia, introligatorstwa, wyplatania i t. d., które to zajęcia wyrabiają zręczność i przygotowują dziecko do systematycznej działalności.

W budowaniu przyszłości narodu przez pracę nad dziećmi pierwszorzędną rolę odegra nuczycielka i nuczyciel, których jednak był materyalny i położenie towarzyskie, wśród naszej narodowości, wiele pozostawiają do życzenia.

Pominę w tej chwili stosunki miejscowe, a wskażę na Galicyę, skąd przed kilkoma tygodniami otrzymałem list następujący:

„Jestem od 15 lat nauczycielem ludowym w IV klasie płac. Mimo nienagannej pracy zyskałem 1400 koron pensji (około 560 rubli). Mam tylko jednego syna w gimnazjum, a mimo nader oszczędnego życia, poprzedstawiania



NOC NA WISŁE (Z wystawy T. Z. S. P.)

STEFAN POPOWSKI

na małym, obchodzenia się bez sługi, sporządzania sobie wielu rzeczy, za które inny mój kolega musi płacić, mimo to wszystko, koniec z końcem schodzić się nie chce i, wobec dzisiejszej drożyzny, nie może.

„Pominę jednak siebie. Przed kilkoma miesiącami dostałem do mej szkoły młodego kolegę „z igły”, zamiłowanego w zawodzie, pełnego idei, z szerszym poglądem na padół płaczu, na dobro naszej Ojczyzny, wogóle chłopca, pragnącego wlać swoją gorącą duszę polską w nasz lud. Gdym słuchał jego nauczycielskich wynurzeń, rosło mi serce i—odmłodziłem.

„Dziś, po kilku miesiącach walki o głódzie i chłodzie, bo w lichej stancyjce, w podartych butach, w cienkich spodeńkach, warzącego sobie jak najtańszą zupkę Maggiego po 5-cio lub 6-ciogodzinnej pracy wśród smutnych warunków higienicznych, widzę, jak ten chłopiec rozgorycza się, jak w rozmowie o naszym bycie zaciska pięści, jak zraża się do wszystkich, którzy są winni, że nam, po wsiach, w najkrytyczniejszych warunkach, żebracze pensje przeznaczono, odkładając poprawę na później... Nauczyciel w Galicyi ma 700 koron (około 280 rb.) rocznej płacy, pod-

czas gdy parobek, oprócz całego utrzymania, dostaje u nas 200 do 300 koron i więcej rocznej płacy. A przecież nauczyciel powinien czytać, kształcić się, przywoicie być ubranym—za co? pytam... Niech pan zabierze głos w tej sprawie na łamach *Tygodnika*, by ostrzedz społeczeństwo przed zarazą, jaka przez usta takiego nauczyciela mimowoli w młodociane serduszka się przelewa... Oszczędność Sejmu naszego w tym względzie smutnie może odbić się na społeczeństwie”...

List ten nie potrzebuje komentarzy. We Francji między nauczycielami ludowymi trafiają się apostołowie socjalizmu i anty-militaryzmu; czy to samo nie zdarzy się w Galicyi, w większych rozmiarach, dzięki głodowym pensyjom wychowawców ludu?...

Streszczam się. Jeżeli pragniemy, ażeby naród nasz nie tylko mnożył się, jak „króliki” Bülowa, ale żył i działał, jak ludzie, powinniśmy: starać się o zmniejszenie śmiertelności wogóle między dziećmi i o usunięcie powodów do dzieciobójstw, mnożyć ilość najprostszyc zakładów wychowawczych, jak sale zabaw i zajęć dla dzieci, no—i głosować, o ile się to na co przyda—za lepszym wynagradzaniem nauczycieli ludowych w Galicyi...

SZYMON TOKARZEWSKI:

## ZE WSPOMNIENI KATORŻNIKA.

„A JEDNAK...”

2)

Spór zaczyna się zaognić, zaciśnięte pięści podnoszą się w górę... już... już ma wybuchnąć walka... Szczerem powraca bohaterka uroczystości... Zasiada na podium, rozpoczynają się znów śpiewy, rozplatanie warkoczyków, oraz jeremiady nad utraconym wiankiem dziewiczym...

Trzeba tu dodać, że dziewczyna może parękroć zostać matką, za każdym razem z innego, przelotnego związku, a mimo to nie traci miana dziewczycy, dopóki nie weźmie ślubu w cerkwi.

Po oczeplinach i sutych libacyach następuje biesiada, przy której w rolach gospodarzy występują „bojarowie”, „tysiączny” i „rodzice weselni”. Podczas biesiady dziewczyny wypiewują za przewodem starszej drużny hymny pochwalne na cześć bogatszych gości, których obowiązkiem wywdzięczyć się śpiewaczkom za te dytyramby hojnym datkiem pieniężnym. Zebrana kwota rozdziela się pomiędzy narzeczoną i drużny.

„Dziewicznik” kończy się „byczkiem”. Jest to ulubiony taniec wieśniaków syberyjskich. Biorący w nim udział szykują się parami i, stojąc w miejscu, przytupują bardzo silnie przy dźwiękach „bałabajki”. Następnie pary rozpraszają się po izbie.

Olgierd nie grał podczas wieczoru dziewic. Mimo to na obrządk zaślubin został zaproszony.

Poszedł.

Przed ślubem odbywa się u wieśniaków syberyjskich błogosławieństwo. Narzeczeni padają na podłogę w „gornicy”. Leżącym kładą na plecach wizerunki cudotwórców, stawiają płonące świeczki, „weselni rodzice” odmawiają nad nimi błogosławiące modlitwy, poczem dopiero cały orszak udaje się do cerkwi.

Trzeba nadmienić, że nie prawdziwi rodzice narzeczonych błogosławią ich, ale „rodzice weselni”, ludzie zupełnie obcy najczęściej, najzamożniejsi z sąsiadów.

W pochodzie do cerkwi Olgierd Malkiewicz towarzyszył orszakowi, grając marsza weselnego Mendelsohna-Bartholdy, który wzbudził nieklamany zachwyty.

Trzy doby trwające uroczystości weselne zakończyły się w ten sposób, że uczestnicy zabawy biegali i jeździli po ulicach wioski, śpiewając sprośne pieśni pijackie przy dzwonienu w janeczary.

\* \* \*

Od owego weseliska, na którym Olgierd znalazł się z wszystkimi mieszkańcami Kołymki i życzliwość ich pozyskał, los wygnańca uległ znacznej poprawie. „Starszyna” dał mu chatynkę, wprawdzie bardzo zrujnowaną, bez podłóg, okien i drzwi, przy usilnej pracy jednak, a małym pieniężnym nakładzie Olgierd urządził sobie w niej izbę, która po dawniej jego „ziemlance” wydała mu się najwspanialszym apartamentem. Niezbędne sprzęty wyciosał i wyrzezał sobie własną ręką.

Chata, zwana „pustką”, była za wsią, daleko więc od krzyków, przekleństw, od tej hałaśliwej wrzawy nieustannej, panującej zwykle w zbiorowisku włościan syberyjskich. Z początku do Malkiewicza zaglądały często piękności Kołymki. Widząc przecież, że ich natarczywa uprzejmość rozbija się o jego lodowatą obojętność, przestały zabiegać.

Natomiast bardzo często zachodził do Olgierda „starszyna”. Zasięgał jego rady w różnych okolicznościach, prosił o układanie raportów urzędowych. W zamian za uprzejmość, z którą wygnaniec spełniał wszystkie jego żądania, Mitryj Stepanycz pożyczał mu swojej własnej strzelby, ile razy chciał zapolować. A że Olgierd był za-

palonym myśliwym i doskonałym strzelcem, polowanie stało się zyskową rozrywką, od czasu zwłaszcza, gdy ubił kilka łosiów.

Oprócz „starszyny”, najczęściej odwiedzał Olgierda Andruszka, były żołnierz, dziad krzepki, czerstwy i silny. Lubił się chełpić, że wzdłuż i wszerz, wielokrotnie zdeptał całą Syberyję, że zna i takie gościńce, po których jeżdżą „generały” we wspaniałych pojazdach, i takie ścieżyny, które w niedostępnych tajgach tylko dzikie zwierzęta chadzają do legowisk i wodopoju.

Podczas długich zimowych wieczorów Andruszka nie zapraszany zjawiał się często w „pustce”, nalewał sobie herbaty bez pytania, łapczywie spożywał olgierdowe zapasy i, usadowiwszy się przy ogniu, gadał... gadał... gadał...

Raz obcesowo zapytał Olgierda:

— Ile „dzion” szedłbyś do swojej „ziemi”?

— Ile „dzion”?—rozśmiał się zagadniony — spytaj, dziadu, ile miesięcy, a nawet ile lat?...

Dziad kręcił głową, zmrużył oczy, jakgdyby namyślając się nad czemś, czy też coś rozważając, nagle, pochyliwszy się ku Malkiewiczowi, szepnął:

— Uciekaj do swojej „ziemi”, Olgierdzie Stefanowiczu! Ja tyłu ju: „nieszczęstnych” wyprowadził z katorgi... ja ciebie też poprowadzę do „Jewropy”, „ili” na mongolskie „stepy”, „ili” nad ciepłe, Czarne morze... A stamtąd do Carogrodu już sam skoczysz, a do mnie rzekniesz: to dla ciebie „połowina” srebrem, stary grzybie!

— Nie pletlibyście, dziadu, głupstw—odparł Malkiewicz z udanym gniewem, gdyż propozycja ucieczki wstrząsnęła nim do głębi duszy.

Dziad podniósł się, wsparł na swoim koszturze, popatrzył na Olgierda, niby z politowaniem, i wyszedł z chaty, słowa nie rzekłszy. Nie pokazał się przez kilka dni, poczem znów przychodził codziennie. Iskra, rzucona w serce Olgierda, tliła się... Andruszka rozdmuchiwał ją zręcznie, Obietnicami łatwej ucieczki kusił młodzieńca, kusił, aż wreszcie zdołał go nakłonić do swoich planów...

Kiedy wiosna zesłała na ziemię blaski złociste i ciepłe, ożywcze powiewy, kiedy Irtyś oswobodził się z lodów, kiedy drzewa pokryły się liściem, murawy zielenią, a tajgi bujną roślinnością zakwitły, poszli...



Rys. Cz. B. Jankowski.

Olgierd, z wyjątkiem pieniędzy, pozostawił w chacie całą swoją chudobę. Za poradą Andruszki napisał do „starszyny” list, że, przykrzywszy sobie życie, szuka ukojenia na dnie Irtyszu. To pismo Olgierd położył w najwidoczniejszym miejscu, na stole, przycisnął kamieniem, chatę zamknął, klucz do izby wrzucił przez rozbitą szybę—i... poszli.

Andruszka prowadził młodzieńca ścieżkami, których od stworzenia świata pewno jeszcze stopa ludzka nie dotknęła.

Zapytywany, dokąd idą, Andruszka z tajemniczym uśmiechem odpowiadał:

— Obaczysz!

Jedli zapasy, obficie zabrane z Kołymki. Wody na herbatę dostarczały im przezczyste strużki, płynące w obramowaniu irysów wonnych i niezapominajek błękitnych. Kiedy Olgierd zżymał się na zbyt długie postoje, dziad go strofował:

— Azaliś ty „burjan”, Olgierdzie Stefanowiczu, że chcesz pędzić bez odpočynku? azali chcesz za parę „dzion” kopyta wyciągnąć?...

Olgierd musiał przyznać, że istotnie dziad ma rację, że muszą sił oszczędzać na daleką drogę. Noce przepędzali pod kopułą delikatnych gałęzi modrzewiowych, na podścielisku miękkich mchów i wonnego kwiecica przy rozpalonych ogniskach, które miały odstraszać od nich dzikie zwierzęta. A w miarę oddalania się od Kołymki obaj stawali się coraz weselsi. Olgierdowi jakgdyby wyrastały skrzydła u ramion...

Raz, późną już nocą, Olgierd ocknął się ze snu... Wietrzyk wonny, lekki muskał mu twarz. Księżycowe promienie srebrzyły delikatne koronki modrzewi, ogniska płonęły jasno, było mu dobrze i wygodnie. Z przymrużonymi oczami marzył... Marzył o spotkaniu z rodziną, o swobodzie, o możliwości ukończenia studyów, rozpoczętych w Szkole Centralnej w Paryżu, marzył w półśnie, w półjawie... Nagle posłyszał, że Andruszka, który chrapał przed chwilą opodal, obudził się i czołga ku niemu, nachyla nad nim, wpatruje się w niego, wreszcie pomalutku, ostrożnie, zaczyna mu obmacywać boki i piersi, aż wreszcie kościste palce dziada, dotknąwszy miejsca, gdzie miał zaszyte pieniądze, wpijają się w nie drapieżnie... Andruszka począł sapać głośno i ciężko... Olgierd wówczas niby to przebudził się i zerwał na równe nogi.

— Co się stało?—bąknął niby nieprzytomnie, przecierając oczy—co się stało, dziadu?

— At!—niebale machnął ręką Andruszka—ryczałeś, jak łos... zbudziłeś mnie. Myślałem, że cię dziki zwierz, „abo” „jerlik”, „ili” zmora dusi, i pośpieszyłem ci z pomocą...

— Dziękuję wam, dziadu, śpijcie spokojnie, jam się już wywczasował—rzekł Olgierd, poprawił ognisko, usiadł przy niem i czuwał już do dnia.

Straszne podejrzenia zaczęły ogarniać młodzieńca... Byli tylko we dwóch w tajdze... Andruszka znał wszelkie jej tajniki, Olgierd nie, dziad za cholewą buta nosił nóż długi i ostry, on nie miał żadnej broni. Natomiast miał w kamizelce zaszyte dwieście rubli, które dziad oczywiście pragnął mu wydrzeć. Przedewszystkiem postanowił Olgierd utwierdzić się w swoich przypuszczeniach, ale jak?

*In vino veritas*—przyszła mu na myśl stara maksyma. Wina nie miał wprawdzie, ale posiadał dużą flaszkę gorzałki, którą przed Andruszką dotychczas ukrywał.

Zaraz następnego wieczoru wydobyl flaszkę z tobołka.

— Dawaj!—krzyknął dziad i drżącymi z pożądlivosti rękoma sięgnął po flaszkę, którą wnet do dna jednym haustem wychylił.

— Naści! teraz ty chlaj!—śmiał się, rzucając pustą flaszkę w zarośla.

Olgierd bardzo zręcznie skierował rozmowę na pożądaną temat. Pod wpływem alkoholu Andruszka stał się bardzo szczerym. I ze szczegółami opowiadał, ilu to już „nieszczęstnych” z katorgi, czy z osiedlenia wywabił do tajgi, gdzie ich „do snu ululał na wieki wiekuiste”.

— A czemu robiliście to, dziadu?—zapytał Olgierd—czy owi „nieszczęstni” mieli pieniądze?

— Dyabłaż tam mieli!—pogardliwie splunął Andruszka—czasem jaką garść marnych kopiejek...

— Więc po co ululaliście ich, dziadu?

— Czemu?... a bo każdy miał „obutki”, a także jaką taką przyrodziwę na grzesznym cielsku. „Obutki”, widzisz, to łakoma i droga rzecz, a za siaki taki łachman z pięć kopiejek dostaniesz od Żyda parszywego... Bo to, widzisz, młokosie, takie jest urządzenie na tym świecie: jednym Pan Bóg dał „dienieg” w bród, a drugim dał rozum i mocną pięść... Możebyśmy się spróbowali na pięści? co? he? paniczyku, „szlachcicu”, „psia kość, polityczskiej przestupnik?”

— Jutro będziemy się mocować, dziadu, teraz napijcie się jeszcze wódki.

— Twoja prawda, „ślachcicu”, dawaj!

Wychylił duży haust, zamamrotał coś niewyraźnie i z flaszą, miłośnie przytuloną do piersi, nieprzytomny osunął się na ziemię.

Olgierd wówczas wyciągnął mu nóż z z cholewy, zagasił ognisko i—uciekł.

Po kilku dniach pośpiesznych marszów, bez osobliwych przygód Malkiewicz z nieopisaną radością ujrzał stęp.

Przyjmowany gościnnie w jurtach Kirgizów, dostał się do Omska.

Tam prosto poszedł do komendanta batalionu, w którym niedawno służył. Opowiedział mu całą prawdę, którą zatajono, zatarto, gdyż za usiłowanie ucieczki z Syberii grożą ciężkie roboty. Wkrótce potem, dzięki staraniom rodziny, dano Malkiewiczowi paszport emigracyjny.

W roku 1885 spotkaliśmy się w Cieplicach czeskich. Opowiadając swoje przygody, Malkiewicz kończył:

— Żle nam, Polakom, w katordze, źle w woj-sku, nie lepiej na osiedleniu, a jednak... nie radziłbym nikomu uciekać z Syberii. Gra się wtedy o wysoką stawkę: o życie...

## ODŁAM.

Od roku na gruncie warszawskim wytworzyło się stowarzyszenie w rodzaju krakowskiej „Sztuki”—pod firmą „Odłamu”.

Tegoroczna wystawa „Odłamu” jest znacznie słabsza od zeszłorocznej, nie tylko doborem dzieł, lecz i małą liczbą wystawców.

Otwarcie powiem, że najbardziej artystycznie skończonym, w znaczeniu wyzyskania drogą wysiłku wewnętrznego ideowej treści w wyrazie plastycznym, jest obraz Stanisława Straszkiwicza p. t. „Jutrzenka”. To jest rzeczywiste dzieło sztuki, utwór niepowtarzalnej kultury artystycznej, zrównoważona w swej ostatecznej formie całość. Cała gama miękkich, przezroczystych tonów, owiana tchnieniem szczerzej poezji, pełna finezyi wizya fragmentu, z rzeczywistości zaczerpnięta, składa się na rzecz podniosłą w swem założeniu, subtelną w przeprowadzeniu.

Duży podwójny portret Stanisława Lenca, pojęty bardzo oryginalnie, należy do najudatniejszych kreacji tego wysoce utalentowanego artysty. Główna cecha jego talentu, dążność do charakterystyki przedstawianych postaci, w obecnym portrecie występuje ze zdwojoną siłą. Jako moment życiowy, podpatrzony w swej przypadkowości realnej, zbiorowy portret przedstawia wszelkie cechy rodzajowego obrazu. Jest w nim nieco pierwiastku „żywego obrazu”, lecz równocześnie duży rozmach wykonawczy. Psychologia wyrazów twarzy, śmiech modelu i uśmiech artysty, wyszły w utworze Lenca z wielkim odczuciem.

Kilka nadesłanych przez Franciszka Żmurkę kobiecych postaci, w formie lekko, z wirtuozją narzuconych sylwetek, dają nam w całej pełni to, co jest najpotężniejszym czynnikiem organizacji duchowej twórcy „Gwiazdy Betleemskiej”, ową nieuchwytną w swych zarysach, a tak zawsze pociągającą ideę kobiecości.

Jeden z najwybitniejszych talentów malar-skich ostatniej doby, a dziś już pierwszorzędnym w swej specjalności artysta, Teodor Ziomek, wystawił jeden większy, a kilka mniejszych krajobrazów. Wielkie poczucie koloru, umiejętne przeno-szenie wrażeń, z natury odbieranych, na płótno,

widnieją w pracach Ziomek i tym razem, bez silniejszego jednak piętna wyjątkowej tej organizacji. Z dużą, pejzażową dekoracją wystąpił Bronisław Kowalewski. I to jest również niepośledni talent, którego dzieła okazują ciągły wysiłek w drodze do doskonalenia zasobów, danych mu przez naturę. Czy jednak jego „Z nad jezior” jest już ostateczną miarą rozwoju talentu? Nie wiem. Zdaje mi się, że obecnie artysta znajduje się w stadium przełomowym, w epoce wzmożonej pracy wewnętrznej, której wyników należy czekać z zaciekawieniem.

Władysław Wankie dał nam szereg obrazków, mających w sobie wiele pierwiastków muzycznych. Są to subiektywne stany duszy artysty, których desenie snuje na tle wrażeń z natury. Wierny charakterowi swej indywidualności, kładzie on większy nacisk na stronę psychologiczną natury, niż na jej wyraz zewnętrzny, i często dochodzi tą drogą do wyrażenia subtelniejszych nastrojów. Węglowy „Portret damy” Tańskiego jest, jak zwykle u tego artysty, tego narysowany, brak mu natomiast wdzięku w układzie, przez co nie przekracza zwykłej normy poprawnie wykonanych wizerunków. Z dwoma portretami również wystąpił prof. Niewiadomski.

Osobną grupę wystawy stanowią: Gawiński, Wawrzeński i Okuń, jako rzecznicy kierunków nawskroś idealnych. Ani kolorystyczne improwizacje Gawińskiego, ani baśniowo-fantastyczne poematy Wawrzeńskiego, ani ilustracje Okunia, obecnie wystawione, nie okazują nam talentów ich twórców z nowej jakiej strony. Są to typowe dzieła znanej nam oddawna twórczości.

H. PIĄTKOWSKI.

## STRASZNE ECHO.

Po raz drugi toczył się smutny proces przez trzy dni ostatnie ubiegłego tygodnia przed lwowskim sądem przysięgłych. Znowu Mirosław Siczynski stanął przed trybunałem sprawiedliwości ludzkiej za to, że d. 12 kwietnia r. z., uzyskawszy podstępnie posłuchanie u namiestnika cesarskiego, ś. p. Andrzeja Potockiego, zabił go kilkoma kulami z brauninga w fatalnem przekonaniu, że uwalnia w ten sposób naród swój od rzekomego „ucisku” polskiego.

Młody, dwudziestoletni chłopak, mimo całej swej inteligencji, nie znalazł w umyśle swoim tyle krytycyzmu, aby zrozumieć fałsz tych niedorzecznych haseł, które demagogowie ruscy bez wyrzutów sumienia rzucają biednemu swemu ludowi. Młoda jego wrażliwa dusza zatruta się jadem tej nienawiści, która nurtuje niektóre warstwy narodu rusińskiego, i uległa mu, zanim młody, nie zrównoważony jeszcze rozum zdołał wytworzyć z siebie odtrutkę na ten jad straszliwy.

Jeden z ekspertów psychiatrów, prof. Sieradzki, składając przed sądem swoje orzeczenie o stanie umysłu Siczynskiego i podnosząc jego wysoką inteligencję i bystrość, wyraził się, że, gdyby Siczynski był o dziesięć lat starszy, nie byłby nigdy zbrodni swego popełnił. W tych słowach uczonego zawiera się cały tragizm uczynku tego młodego człowieka, który ze spokojem fanatyka powtarzał teraz to przed sądem, co mówił już przed rokiem: że chciał zabić hr. Potockiego, jako przedstawiciela nienawistnego Rusinom systemu.

Straszną krzywdę, którą tym czynem swoim wyrządził żonie niewinnie zabitego i jego biednym dzieciom, niczem niezaskuszoną obelgę, którą, zabijając tak wybitnego Polaka, cisnął całemu narodowi naszemu, przebaczone mu już. Hrabina Andrzejowa wyraziła to przebaczenie w znanym swoim liście. Prasa polska po wyroku w pierwszym procesie



Siczynski, prowadzony z więzienia do sądu. Fot. M. Münz.

oświadczyła się wyraźnie za ułaskawieniem zbrodniczego fanatyka.

Pozostało jednak prawo, zimne, nieubłagane prawo, które wymaga, aby po zbrodni następowała kara. Teraz, kiedy wyrok już zapadł, obdarzone prawem łaski czynniki niechaj z niej jak najszerszy wobec Siczynskiego uczynią użytek, a odpowiedzą tylko szczerym pragnieniom ogromnej większości narodu polskiego, któremu nie jest bardziej obce, jak pragnienie zemsty.

Ś. p. Potocki padł ofiarą młodszości kulturalnej Rusinów, z którą ekspansya ich dzisiejsza

nie stoi w normalnym stosunku. Oby zabójca jego młodociany przez karę, jaką poniesie, odkupił nie tylko własną winę, ale także i ten błąd ogółu rusińskiego, którą popełnia on stale, zapominając zbyt często w swoich usprawiedliwionych dążeniach do



Mirosław Siczynski.

rozwoju, że prawo do kultury okupić można tylko czynami kulturalnymi, a nie skrytobójczymi kulami. Siczynskiemu nikt nie przeszkadzał pracować i poświęcać się dla dobra swego narodu wszystkimi możliwymi sposobami. Dlatego wybrał on z nich najgorszy, na to niechaj odpowiedzą sobie ci demagogowie ruscy, którzy duszę jego zatruli jadem nienawiści i niemocy, którzy jeszcze po strasznym czynie wołali: „Vivat sequens!” □



Matka i siostra Siczynskiego. Fot. M. Münz.

WIKTOR GOMULICKI:

**DZIEWECZKA Z DOMREMI.**

FRAGMENT.

(Wioska francuska w roku 1424. Ciepły pogodny dzień wczesnej jesieni. W głębi wznoszące się stopniowo wzgórza, pokryte tarniną. Joanna przechadza się po małym ogródku, między grządkami kwiatów. Po lewej stronie wychyla się z gąszczów bok kościoła z szeregiem okien w gotyckim obramieniu).

*Joanna.* Nie wiem, co ze mną?... Takbym płakała!  
(Szept wśród traw i kwiatów).

— Joasiu...

— Janiu....

— Janeczko.

*Joanna.* Drzę cała.  
(Stłumiony głos organu. Słońce zapala blaski w oknach kościelnych).

Te ognie szepczą. To drzewo syczy.  
Wabią mnie głosy, pełne słodyczy...  
Tak z ziemią w raju rozmawiał Adam.

(Przeciera oczy).

Czy ja się budzę? czy w sen zapadam?  
Świat mi się zmienił—wypiękniął, zbożył...  
Panie! czyś Ty mnie raz drugi stworzył?

(Schyla się nad grządką).

Zerwę tę lilię.

(Przykłęka, wyciąga dłoń i cofa ją).

Co?—„Nie zabijaj”?...

(Wstaje wzruszona).

Kwiat: „nie zabijaj” powiedział do mnie!...

*Głos z grządkki.* Tyś siostra lilii, więc liliom  
sprzyjaj!

*Joanna.* Bodajbym sercem była tak czysta,

Jak wy!—bo, jeśli siostrą wam jestem,  
Białą być muszę.

*Głos.* Bywamy złote...*Joanna.* Takich ja nie znam.

*Głos z góry.* Kiedyś, za cnotę,  
Tknięta królewskich znaków szelestem,  
Na nich je ujrysz.

*Joanna.* Skąd mi do króla!  
Jam pszczołka wiejska, od swego ula  
Nie odlatuję.

*Głos.* Odlećisz.*Joanna.* Po co?*Głos.* Walczyć.*Joanna.* Jam słaba.

*Głos.* Natchnie cię mocą  
Bóg.

(Głośniejszy akord organu).

*Joanna* (staniając się). Oślepią-m  
strasznie błysnięciem...

Bóg dotąd ojcem był, ja—dziecięciem,  
Dziś mi się jawi Panem, którego  
Wojska aniołów orężnych strzegą...  
Ledwie nań spojrzeć śmiem.

*Głos.* Zbądź się trwogi.

Bóg jest Miłością.

*Joanna* (składa ręce). O głosie drogi!  
Wodzu mój! wskaż mi, co czynić trzeba,  
By z Bogiem ciężkich ustrzedz się rozstań?  
By z ziemi drogę znaleźć do nieba?

*Głos.* Dzieweczką jesteś—dzieweczką  
zostań!

*Joanna* (pochyla głowę, ręce na piersiach  
krzyżuje). Będzie, jak każesz.

(Siada na ławeczce).

Wczoraj mnie jeszcze

Bawiły śmiechy, tańce i śpiewy;  
Mój anioł prawy miał sny złowieszcze—  
Śmiał się i cieszył mój anioł lewy,  
I próżną byłam. Kwiaty we włosach,  
Przy piersi wstęga, strojna sukienka—

A czyż się stroi Bóg na Niebiosach?  
Czy jest zalotną Święta Panienka?...  
Czasem mnie myśli nawiedzą płocze  
O ładnym Józiu, o miłym Jasiu...  
I sama dumną też bywam trochę,  
Gdy mówią:—„Ładna, miła Joasiu”...  
Precz z tem! Dziś serce oddałam Bogu,  
I wszystkie myśli do nieba wnoszę,  
I rzucam wszystkie ziemskie rozkosze,  
I krzyżem padam w kościelnym progu.  
Obym na ziemi, z okiem w lazurze,  
Cichy znalazła port...

*Głos.* Znajdziesz burzę!

*Joanna.* Ja burzy nie chcę; burzy się boję...  
Mnie przerażają te górne boje,  
W których się szatan ściera z aniołem.  
Dopóki chmura stoi nad siołem,  
Z kolan nie wstaję. Obca mi pycha;  
Nie pragnę w śmiałków mieścić się rzędzie—  
Jak gąsieniczka pragnę żyć licha,  
W lekkim, pod liściem skrytym oprzędzie...

*Głos.* Żyć będziesz w krwawych ogniach  
błyskawic!

*Głos drugi.* W orłowym gnieździe wśród  
gromów bicia!

*Głos trzeci.* W zamęcie zbrojnych,  
wzniesionych prawic!

*Joanna* (wyciąga przed siebie rękę, jakby odpychała coś niewidzialnego).

— Ja nie chcę, nie chcę takiego życia!

By stać wśród gromów, wstrząsać orężem;  
Trzeba nie dzieckiem być, ale mężem,  
Nie dla pastuszki ten los...

*Głos.* Dla ciebie!*Joanna.* Jam nie rycerka.*Głos.* Będziesz nią.*Joanna.* Łaski!

Ta ręka tylko prąść nauczona—

Nie dźwignie szabli.

*Głos.* Twoje ramiona  
Francję podźwigną!  
*Joanna* (podnosi się, ręką oczy przysłania)  
O! jakie blaski  
Mnie uderzyły... Francya!... Przede mną  
Niebo rozwarte... Francya!... Szum skrzydeł  
Słyszę anielskich... Francya!...

(Postępuje kilka kroków, łkając).

Znów ciemno...

Łzy zasłoniły mi świat; na duszę  
Padł smutek. Francyo! Znam twe katusze!  
Krew z ciebie piją roje strasznydeł;  
Cierń na twojej skroni; na rękach pęta...  
Ojczyzno! matko ty moja święta,  
Obezwładniona siły wrogami,  
Coś całą ufność złożyła w niebie!  
Kto dziś ci rękę poda? Kto ciebie  
Zbawi?

*Głos.* Dzieweczka.

*Głos drugi.* Dziewczę z Domremi.  
(Ukazuje się Ś. Michał Archanioł, otoczony hufcem aniołów. Okrywa go półbroja ze srebrnych łusek, ramiona ma obnażone, na głowie hełm z piórem, w dłoni miecz ognisty).

Ś. Michał. Na ciężki zaciąg w służbę Ojczyzny ja błogosławię tobie, Joanno.

Niech twoje słowa będą pobudką; niebo  
niech patrzy przez twoje oczy. Niech na skinięciu  
twojej ręki małej lud Francji w pole popłynie falą.

W ciszy do lotu skrzydła umacniaj,  
po-tem się z gniazda porwij, jak orzeł. Ruń z wy-  
sokości na wrogów hufce, zmieszaj je, zadziw,  
przeżaż i—zwycięż.

*Chór Aniołów.*—Amen.

(Ś. Michał dotyka końcem miecza czoła, potem  
serca Joanny i znika).

(Ukazuje się Ś. Gabriel Archanioł).

Święty Gabriel. Jam ci jest, którym Maryi  
z Nazaret Boga—Człowieka zwiastował  
przyjście. A dziś zwiastuję tobie, Joanno:  
otoś wybrana między pannami.

Módl się i czekaj. Cała się za-  
nurz w rozmowach z Bogiem i z Nie-  
bianami, by duch twój nabrał hartu świę-  
tości. Módl się i czekaj—doczekasz cudu.  
(Znika)

*Joanna* (klęcząc).

Jak zorze, zgaśli... Jak sen, zniknęli...

(Wyciąga przed siebie ramiona).

Och, wróćcie, wróćcie, niebiańscy goście!  
Wróćcie—lub Boga-Ojca uproście,  
By mnie wziął do was w dziewiczej  
bieli!

Wasz głos to rojów pszczelnych muzyka,  
Wasz głos to zdroju szklane dzwonięcie...  
Czemuż, co piękne, tak prędko znika?  
Czemuż, co święte, trwa tylko mgnienie?  
(Załamuje dłonie).

Świat mi zbrzydł... Serce, wyschłe  
tęsknotą.

Ledwie że bije..

(Stania się, chwyta powietrze rękami).

Ach!... Dzień gaśnie... Co to?...

(Pada między kwiaty zemdlna).

(Jawia się Święta Katarzyna i Święta Małgorzata i klękają przy zemdlnącej).

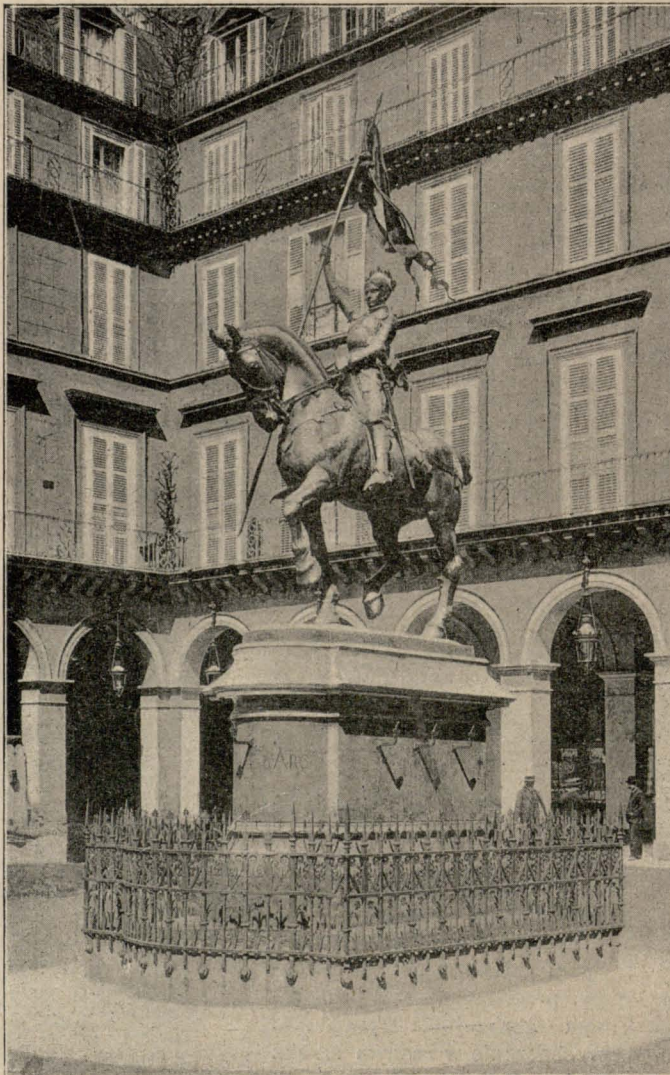
Ś. Katarzyna. Nasze to dziewczę. Bóg  
w niej rozniecił

Płomyczek, który wciąż będzie świecił—  
Aż buchnie ogniem święta iskierka.

Ś. Małgorzata.—Już jej nie skusi świat  
czczą ponętą,

Ś. Katarzyna.—Jutro z pastuszki tej  
bohaterka!

Ś. Małgorzata.—Zasnęła dzieckiem—  
zbudzi się świętą!



Pomnik beatyfikowanej uro. życie w Rzy nie dn. 18 b. m. Joanny d'Arc, dłota Fremiéta, na placu Piramid w Paryżu.



## Na szerokim świecie.

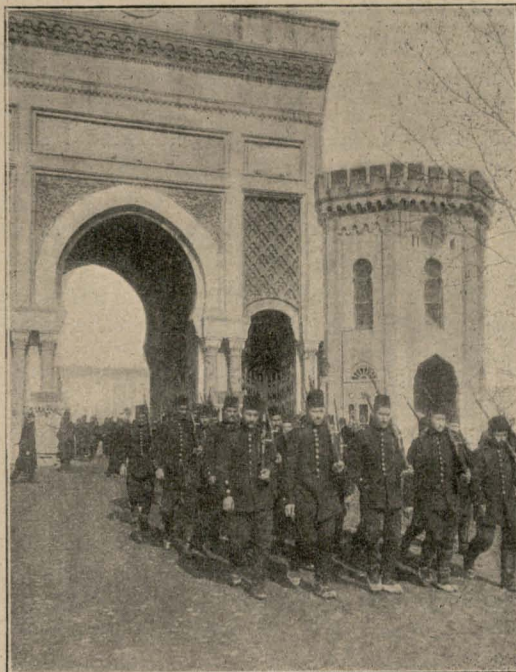
Kiedy przed czterema zaledwie miesiącami sułtan otwierał uroczyste parlament ottomański, ze szpałt pism wszelkich kierunków i narodowości płynęły słowa uwielbienia dla rewolucji, która tylko parę miesięcy trwała, a kosztem bardzo niewielu ofiar przeprowadziła cel swój: zeuropeizowanie Turcyi, a szeregiem rozumnych rozporządzeń stwierdzili nowi kierownicy, młodoturcy, że dorosli do rządzenia państwem.

W chwili, kiedy te słowa piszemy, komitet młodoturecki wzmocnił siły swoje po chwilowej rozszypce. Niosą im pomoc wojska, które pozostały im wierne. Co wpłynęło na ten nowy przewrót w Turcyi? Przypatrzmy się wypadkom.

Nic na świecie nie przychodzi darmo. Zwłaszcza przewroty polityczne, bez strat znacznych, bez ofiar do skutku nie przychodzą.

Jakkolwiek przedajność, protekcyjnizm, szpiegostwo, fanatyczna ciemnota rządów absolutystycznych sułtana wszystkim jego poddanym życie zatrzymała, to przecież nie wszyscy pojowali, gdzie leży źródło złego, a odczuwali je bardziej ludzie oświeceni, do sfer dworskich towarzysko zbliżeni, niż tłum sfanatyzowany, o sprawach ogólnych pojęcia nie mający.

Agitacja młodoturecka od lat czterech szerzyła się głównie w kołach inteligencji. Niektó-



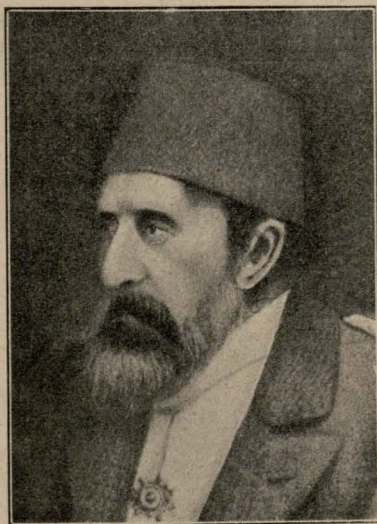
Strzelcy salonicycy w drodze do parlamentu.

hometkańskiego, dążąc do reformy szkół wyznaniowych dla duchowieństwa, zwrócili ku sobie nieważność świata ulemów, muftich i innych stróżów

lecz mahometan, jak np. Albańczyków; jako dzierżący władzę—wszystkie żywiły bardziej radykalne, bo nie wszystkich swoich obywateli liberalnych dotrzymać mogli. Słowem, mieli przeciwko sobie legion wrogów, czekających tylko na sposobność odwetu.

Sposobność nadarzyła się niebawem—na najbardziej grzązkim i ślizkim polu polityki zagranicznej. Wasal Turcyi—książę Bułgarii, ogłosił się królem i przyłączył do państwa swego prowincję, nad którą prawo suzerenatu padyszach wykonywał; czasowe zajęcie Bośni i Hercegowiny zmieniło się na stałą aneksję. Ostatecznie musiał to wszystko rząd turecki potwierdzić. Czy mężowie stanu młodotureccy mieli możliwość sprzeciwienia się formalnej zgodzie na dawno dokonane fakty? Oczywiście—nie. Czy szerokie masy tureckie obchodzą istotnie koronkowe prace dyplomatyczne? Także nie. Ale jakże łatwo było podniecić, zbudzić drzemiące w sercu każdego wierne uczucia wszechpotęgi Islamu i jego wyznawców, wytłumaczyć, że tylko renegaci mogą się takiego tradycyjnego wpływu i znaczenia rzekać.

To zrobiono. Zwalone zostały rządy młodotureckie. Niewątpliwie za sprawą pozornie tylko oddanego im padyszacha. I za sprawą złota—marek, czy gwinej, mniejsza o to—tych, dla których odrodzona, mocna wewnętrznie Turcyja nie jest pożądana i którzy we współzawodniczej walce na Bałkanach zasiewają stale ziarna anarchii.



Ostatni portret sułtana Abdul Hamida.



Ułani tureccy na moście stambulskim.

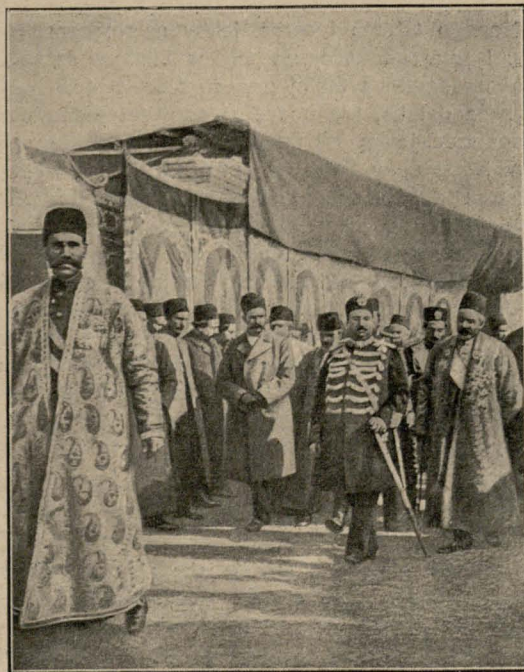


Enver Bey, jeden z wybitniejszych przywódców młodotureckich, który na czele swego oddziału dał hasło do buntu w czerwcu r. z.

rzy należący do niej oficerowie przenieśli ją między żołnierzy, którym ślepe posłuszeństwo pozwoliło na przyjęcie doktryny. Pierwszy akt działalności młodoturków rozegrał się w czerwcu r. z., a treść jego—to odezwa do mocarstw w sprawie macedońskiej, pełna godności narodowej. Drugi—to denuncjacja Enver beja i innych, wynikająca stąd ucieczka w góry kilku oddziałów, przejście wyślanego przeciwko nim wojska z Azji Mniejszej na stronę rewolucjonistów, daremne usiłowania rządu stłumienia buntu i opanowania Macedonii. Trzeci wreszcie—to tryumf młodoturków, zmiana w wezyracie i podpisanie konstytucji d. 23 lipca r. z. Wreszcie apoteoza—otwarcie parlamentu ottomańskiego 17 grudnia r. z.

Gdyby to był dramat na deskach scenicznych, ku ogólnej uciezce zapadłaby w tym miejscu kurtyna. Życie urządziło inaczej. Młodoturcy mieli istotnie wszystkie okoliczności przeciwko sobie. Najpierw w polityce wewnętrznej byli czynnikiem postępu. Pragnęli wszędzie, a przede wszystkim w armii, która ich na szczyty powodzenia wyniosła, opręć się na wyższej oświeceniu, przeciwstawiając ją tradycyjnej ciemności. Pragnęli usunąć protekcyjnizm w rozdawaniu posad, głośne na całym świecie *bakszysze*. Więc oburzyli przeciw sobie setki usuniętych z armii oficerów bez wykształcenia; oburzyli dodatkowo armię niższych urzędników. Przeciwstawiając się w szeregu praw i przepisów *szeryfatowi*—zbiorowi praw kanonicznych i zwyczajowych społeczeństwa ma-

praw proroka. Wreszcie, jako nacyonaliści, narazili sobie ludy nie-tureckie, i to nie chrześcijan,



Szach Mohamed Ali Mirza.

Dziś pułki młodotureckie zbliżają się do Konstantynopola. Mają tam zrobić porządek—krwawy, a w tej robobie runąć może w gruzy panowanie obecnego sułtana i ustąpić miejsce musiał miejsca swemu bratu. A ogólne znaczenie tego zatargu jest o wiele większe, niż poprzedniego, między Serbią a Austro-Węgrami, bo rozgrywać się będzie na gruncie bezpośrednich stuletnich starć sprzecznych interesów wszystkich wielkich mocarstw europejskich.

Sułtan pozostawił dotąd nietkniętym parlament i konstytucję. Nie poszedł w tem za przykładem swego mahometkańskiego kolegi, szacha perskiego, który przez zniesienie *medżyłisu* na stałe w państwie swoim zagnieździł anarchię rewolucyjną. Walki toczą się nieustannie około i o posiadanie Tebrysu, głównej kwatery rewolucjonistów. Nieszczęsne miasto jest widownią krwawych scen. Daremne są układy i usiłowania konsulów. Żywności starczy obłożonym zaledwie na dni parę; komunikacja ze światem przerwana.

...W inną zgola atmosferę cudownych zwycięstw, prawie nadprzyrodzonych, przenosi nas przypomnienie Joanny d'Arc. W niedzielę, 18 b. m., wobec czterdziestu tysięcy rodaków, chwala starej Francji została przez Kościół zaliczona w poczet błogosławionych. Na innym miejscu *Tygodnika* czyni cudownej dzieweczki lepiej sławi znakomity poeta, niżby to mógł uczynić referent polityczny.



Helena Modrzejewska podczas pierwszych występów w Warszawie.

## Helena Modrzejewska.

WIANEK WSPOMNIENI NA GRÓB ARTYSTKI.

Niezapomniane wrażenia młodości odezwały się z dawną żywiołową siłą i postawiły przed oczyma cudownie piękne wizje poetów, zaklęte w żywe kształty przez potężną artystkę, która teraz legła w trumnie na dalekiej, amerykańskiej ziemi.

Teatr bielił się od chustek, zroszonych łzami, gdy konała „Dama kameliowa” albo „Adryanna Lecouvreur”. Serca były tak mocnym współczuciem dla odtwarzanych przez Modrzejewską postaci, że zatracala się w zupełności pamięć, iż to scena i udanie, a prawdziwe łzy słuchaczy były tryumfem wielkiej artystki, która żyła życiem heroin dramatów i odwrotnie ożywiała je swym prawie twórczym duchem.

Niezapomniane chwile. Dziś, gdy pewnym jest, że nie usłyszymy już nigdy tego przejmującego głosu, że nie obaczymy tych cudownych, głębokich, pełnych niewysłowionej poezji źrenic, dziś przypomnieć chcemy to, co o Modrzejewskiej na progu jej artystycznej kariery pisali najwybitniejsi podówczas znawcy teatru i sztuki dramatycznej.



Helena Modrzejewska w roli „Dalili”.

Ofelia, Adryanna, Marya Stuart, Odetta... My, co pamiętamy teatr, grzmiący oklaskiem i ciskający serca do stóp Modrzejewskiej, jakże żałujemy was, młodzi, że nie widzieliście takiej czarodziejki duchów ludzkich i że nie ujrzycie jej już nigdy.

### „ŚLUBY PANIEŃSKIE”. ANIELA.

Pisząc te kilka wierszy, nie mieliśmy za prawdę nadziei, że tak rychło na scenie naszej oglądać będziemy podobną Anielę.

Ta rola, pozornie tak drobna i skromna, w znakomitej grze gościa przybrała rozmiary istotnie olbrzymie. Ile razy była na scenie, tyle razy całą tę scenę zapełniała. Począwszy od pierwszego występu, w którym zachwycała grą niemą, od następnych, w których z niewypowiedzianą prawdą i siłą uwydatniała wszystkie przejścia wkradającego się do jej serca uczucia, aż do ostatnich, gdzie zaczyna sobie zdawać sprawę z tej rosnącej miłości, gdzie, wzmocniona nią, czuje się silną i wielką, ta Anielą była w najpiękniejszym i najwznioślejszym znaczeniu tego wyrazu istną naszą dziewicą. A była nią nie skutkiem użycia jakich środków niezwykłych i wielkich, lecz prosto i jedynie prawdą, pochwyconą w intuicji



H. Modrzejewska z czasów pobytu w Ameryce.

własnego talentu i serca, jakby na gorącym uczynku. I tutaj nie wdajemy się w bliższe szczegóły, bo szczegółowy takiej gry rozbiór poprowadziłby nas za daleko, nie dosyć zresztą raz jeden na nią popatrzeć. Jedną już tylko podnosimy zaletę p. Modrzejewskiej w komedii, która wielu naszym artystom dobrze iżby na wzór posłużyła: zaletę umiejętnego słuchania. Słuchając współgrających, nie myśli ona o tem, co jej za chwilę wypadnie samej powiedzieć, słucha całym uchem, okiem i duszą każde słowo, wyrzeczone przez innych artystów, każdy ruch ich modyfikuje grę jej twarzy i gestów. To nie gra aktorki, to prawda i życie.

F. H. LEWESTAM.

„Kłoty” z dnia 15 października 1868 r.

### „OFELIA”.

Takiej idealnej Ofelii, jaką nam przedstawiła pani Modrzejewska, nie wyobrażaliśmy nawet sobie. Szczytem tej roli, drobnej w rozmiarach, ale potężnej, jako kreacya, są dwie sceny obłąkania. Otóż te dwie sceny wyszły z takim wykończeniem, że, każdą z nich chwilę chwytając na



Helena Modrzejewska w młodości.

plótno, artysta miałby pole do nieprzebranych studyów. Któż-bo wyrazić zdoła tę tak wrażliwą ruchliwość fizjognomii, w której wszystkie przejścia obłąkania w oczach się tylko malują; ten układ cały, będący w takiej zgodzie z wyrazami, napozór nie powiązany ze sobą; a wszystko to wykonane z tak nieporównanym wdziękiem, że Ofelię, kiedy schodzi ze sceny, każdyby pragnął wyrzyc w swojej pamięci i zachować tam na zawsze.

Całem też sercem łączyliśmy się z owacą, jaką publiczność, tłumnie zapełniająca wszystkie miejsca na pierwszym przedstawieniu „Hamleta”, zrobiła beneficentce. Był to u wszystkich zebranych w sali teatralnej ogólny popęd uwielbienia dla prawdziwie wyjątkowego talentu tej sownice od natury obdarzonej artystki.

W. SZYMANOWSKI.

„Tygodnik Ilustrowany” z dnia 1 kwietnia 1871 r.

### „DALILA”.

Pani Modrzejewska z trudnej roli hrabiny de Falconieri stworzyła nam postać zupełnie nową. Na taką Dalilę nie starczy już ani wabność, ani dystynkcyja, trzeba przedewszystkiem tej siły węzowej, która pociąga i obezwładnia ofiarę, a i tej pani Modrzejewska znalazła pod dostatkiem. Widoczniało to w tym zewnętrznym chłodzie, z jakim księżna przy pierwszym widzeniu się spotykała Rosweiną, pod którym zdawały się wybuchać płomienie rozszalałej kobiecej namiętności, a przede-



Helena Modrzejewska w roli „Kleopatry”.



Helena Modrzejewska w roli „Lady Mackbeth”.

wszystkiem w wyborne obmyślanej scenie, w której pod zarzutami, ciskanymi jej w oczy przez Carnioli'ego, pragnącego ratować Rosweina, stara się odzyskać miłość i zaufanie tego ostatniego, ażeby potem tem skuteczniej wszystkie te uczucia podeptać. A jednak, pomimo tych przejść różnorodnych, ani na chwilę hrabina nie wyszła ze swego charakteru, roznamiętniony Roswein mógł jej uwierzyć, dla widza zaś czuć było, że w sercucie kobiety nic już nie pozostało, że wszystko tam jest fałszem i obłudą, wyrachowaną tylko na silniejszym wymierzeniu ciosu.

W. SZYMANOWSKI.

„Tygodnik Ilustrowany” z dnia 2 grudnia 1871 r.

## PIERWSZY WYSTĘP H. MODRZEJEWSKIEJ W SAN FRANCISCO

W „ADRYANNIE LECOUVREUR”.

Uderzyła godzina ósma, weszliśmy do teatru. Nie był pełny. Zastona podniosła się wreszcie; przeszedł szybko akt pierwszy, w którym Adryanna nie ukazuje się na scenie, i rozpoczął się drugi.

Godzina stanowcza wybiła. Z głębi kulis ukazała się nasza artystka. Oklaski, jakimi przy-



Helena Modrzejewska w roli „Ofelii”.

witali ją rodacy, brzmiały długo i rozgłośnie, ale Amerykanie zachowali się obojętnie, więc oklaski przebrzmiały, i zrobiła się cisza.

Słyszałem bicie serca siedzących obok mnie rodaków artystki.

Z zeszytem roli Roxany w ręku, poważna, może wzruszona, ale spokojna, zbliżyła się na przód sceny. Światła kinkietów rzucały na nią blaski. Idealna postać; rysy tak czyste, jakby wyszła z pod dłota Fidyasza, szlachetność, rozlana w całej postawie, i ów niewypowiedziany czar niewieści, znany wam dobrze, widocznie uczyniły wrażenie niezmiernie na nieprzywykłej do takich postaci publice. Cisza stała się tak głęboka, że nie przerywał jej najmniejszy szmer. Nakoniec posąg przemówił. Wyznacie czary tego głosu głębokiego, serdecznego, w którym drgają łyzy i srebro... wy znacie jego słodycz i jego potęgę, ale na scenie amerykańskiej, jakkolwiek nawiedzają ją najpierwsi artyści, było to zjawisko nowe, nieoczekiwane i niezwykle; to też w miarę, jak artystka mówiła, głowy pochylały się naprzód, jakby w mimowolnym hołdzie, twarze traciły codzienny swój biznesowy ostry wyraz, a zimna ciekawość zmieniała się w pełne sympatycznego uczucia zajęcie.

Zauważyli już niejednokrotnie krytycy, i warszawscy, i obcy, że jedną z wybitniejszych potęg naszej wielkiej artystki jest niewypowiedziany urok niewieści. Prostu jest to tak sympatyczna postać, tak chwytająca za serce, tak nawskroś kobieca i idealna, że, kto ją raz widział, ten przyzna, iż podobnej nie spotkał nigdy na scenie. Publiczność patrzy na każdą inną artystkę, jako na artystkę. Ocenia jej grę; zachwyca się lub nie, jak wypada, i dosyć na tem. Osobistość nie odgrywa tu żadnej roli. Z panią Modrzejewską dzieje się przeciwnie. Chwyta ona widza za serce czem? kobiecością, jakimś rzewnym urokiem. Nawiązuje się jakaś niewidzialna nitka sympatyczna między publicznością a osobistością artystki. Widzowie prosto kochają ją, jakby siostrę własną, jakby własne dziecko. Jej powodzenie staje się osobistą sprawą każdego. Tak było w Warszawie, tak było wszędzie, i ten czar niepojęty nie zawiódł i tu. Spojrzałeś po twarzach i wszędzie widziałeś przychylność: czar działał. Poczęto patrzeć na nią, jak na słodką istotę, której nikt nie zrobiłby krzywdy, jakby nie zrobił gołębiowi. Słyszałem naokoło słowa: „Very nice! very nice!... O! by God! How sweet!” (Jak słodka). Tymczasem akcja ożywiła się na scenie. Niezrównanej kobiecie przyzysła z całą potęgą w pomoc niezrównana artystka. Gdy nadeszła kolej na bajkę La Fontaine'a, publiczność zatrzymała oddech w piersiach. Jakieś niewypowiedziane przeczucie kazało oczekiwać wszystkim czegoś niezwykłego. Głos artystki rozległ się, jakby zaziemska muzyka, po wszystkich zakątkach teatru. W oczach rodaków zabyły łyzy... O! już było zwycięstwo! zwycięstwo wielkie, w rocznikach polskiej sztuki niesłychane. Gdy skończyła, cisza trwała jeszcze przez chwilę, jakby publiczność nie zdołała się ocknąć odrazu z upojenia. Potem... trudno opisać, co się stało. Burza prawdziwa oklasków, okrzyków, nawoływań. Zimna z natury publiczność uniosła się do tego stopnia, iż potem dziennikarze mówili mi, że, jak Ameryka Ameryką, nie pamiętano takiego entuzjazmu. Nieszczęśliwy Maurycy Saski pięć razy zaczynał swój frazes i pięć razy nie mógł go skończyć. Aktorowie sami byli zdziwieni. Tu publiczność zwykle nie oklaskuje nikogo. Artystka sama nie spodziewała się niczego podobnego. Po skończonym akcie wyszła rozrzuwniona i upojona. Teatr wył, ryczał, klaskał, tupał. Mężczyźni odbierali swoim „ladies” bukiety i ciskali je na scenę; starzy rodacy nasi płakali, jak małe dzieci; słowem, oczywistość przeszła wszelkie nadzieje i wszelkie oczekiwania.

H. SIENKIEWICZ.

Z „Listów Litwosa” do „Gazety Polskiej” z d. 20 sierpnia 1877 r.

## „MARYA STUART”.

Dziś Modrzejewska stanęła na tym punkcie, że utwór musi jej szukać, ażeby się sam poznał w pewnym wcieleniu, może nie jedynem doskonałym, ale posiadającym charakterystyczne i zdeter-



Helena Modrzejewska w roli „Maryi Stuart”.

minowane znamię doskonałości. Był czas, kiedy Modrzejewska szukała i, przy pomocy niepospolitego talentu, znajdowała zawsze środki pewnych wzruszeń i efektów, składających się na całość wdzięczną; dziś ten okres dla niej zamknięty, ona nie nagina się niewolniczo do tekstu, z czego powstawać mogą efekta wdzięczne, lecz powierzchowne; ona raczej tekst nagina do swoich założeń, własnem „ja” wypełnia jego ramy, pracuje razem z autorem, lecz na własną rękę.

Proszę tylko zobaczyć jej „Małgorzatę Gauthier”, a przekonamy się, że jest to Małgorzata więcej Modrzejewskiej, aniżeli Dumasa. Lecz gdzie ta indywidualność przedstawia się najbardziej imponująco, to w takiej wielkiej, a wielce poetycznej kreacji, jak schillerowska „Marya Stuart”. Historyczna, czy nie, w każdym razie jest to skończony objaw geniuszu poetyckiego, kobieta z pewnym charakterem, do którego odmalowania poeta użył swych najpiękniejszych barw, wprawił ją w położenie, w którym zdolne są odkryć się najszlachetniejsze popędy duszy i budzić sympatyje najżywsze. Potrzeba tylko nadać ciało tym żywiołom, rozproszonym po kartkach, tę muzykę duszy niejako skryształizować, ująć w kształty plastyczne, utworzyć całość. Wszystko złożyło się na to, ażeby taka właśnie postać, jaką nakreślił król romanty-



Helena Modrzejewska w roli „Damy kameliowej”.

zmu, stała się arcydziełem spotężnialego talentu artystki polskiej. Królowa, a więc wymaga postawy i ruchów dystygowanych; kobieta uczuć rzewnych i cichych—musi posiadać te delikatne akcenta, z których tworzą się akordy, melodyjnie wnikać do duszy; bezbronna ofiara tyranii—porwać musi wzniosłą rezygnacją, obudzić żal za czemś słodkim, sympatycznym. Tym sposobem, ażeby przedstawić Maryę Stuart, Modrzejewska spożytkowywała największe bogactwo duszy swej i ciała. Rozbrat uczyniwszy z brawurą tragiczną, całą uwagę skupiła na wydoskonaleniu przymiotów liryki dramatycznej, partej nieporównaną plastyką.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

„Kłosy“ z dnia 5 lutego 1885 r.

## „ODETTA”.

Nie dziwny się rozgłosowi, jaki pani Modrzejewska zyskała w tej roli w Anglii i w Ameryce, skoro i na naszą publiczność, niezbyt zachwyconą samym utworem, wywarła wielkie, piorunujące wrażenie, połączone z daleko większą sympatią dla bohaterki, aniżeli może zamierzał sam autor.

Pani Modrzejewska samym już swym wyglądem wywołuje wrażenie. Znać w niej wielką damę-awanturnicę, a z rysów pięknych, lecz wybladych, a zwłaszcza z oczu, raz błędnych, raz migotających gorączkowym blaskiem, kobietę, która narkotykami podtrzymuje w sobie iskrę często zagasającego życia. A kiedy zaczyna zwierzać się przyjacielowi z marzeń swych o uczciwej kobiecie, opanowuje natychmiast sytuację, bo zdobywa sobie odrazu sympatię widza, który, choć jeszcze przebaczyć jej nie może, to już gotów litować się do głębi duszy nad zbłąkaną. A gdy się Odetta dowiaduje, że jej córka znajduje się tu, w jej pobliżu, owa nadzieja odkupienia, owo marzenie szczęścia, szczęścia matki, pobudza ją do nadzwyczajnej energii, do obrony nawet swej przyszłości wobec męża, który musi być dla niej tylko nieubłagany sędzią.

Rozwój tych uczuć i ich wzmagający się, jak fala burzliwa, postęp, wraz ze wszystkimi ich odcieniami, przeobrażenie się charakteru i woli tej kobiety pod wpływem możliwości odrodzenia się w przywiązaniu matki do dziecka uwydatnia znakomita artystka z porwijącą prawdą, a raczej z olśniewającym artyzmem, a lzy widzów są chyba najwymowniejszym uznaniem twórczości i potęgi jej talentu. Na naszej scenie, ponieważ Sara Bernhard nie grała tej roli, Odetta staje się tak niezapomnianą, że niepodobna będzie przez czas dłuższy pokusić się o nią jakiegobądź innej artystce.

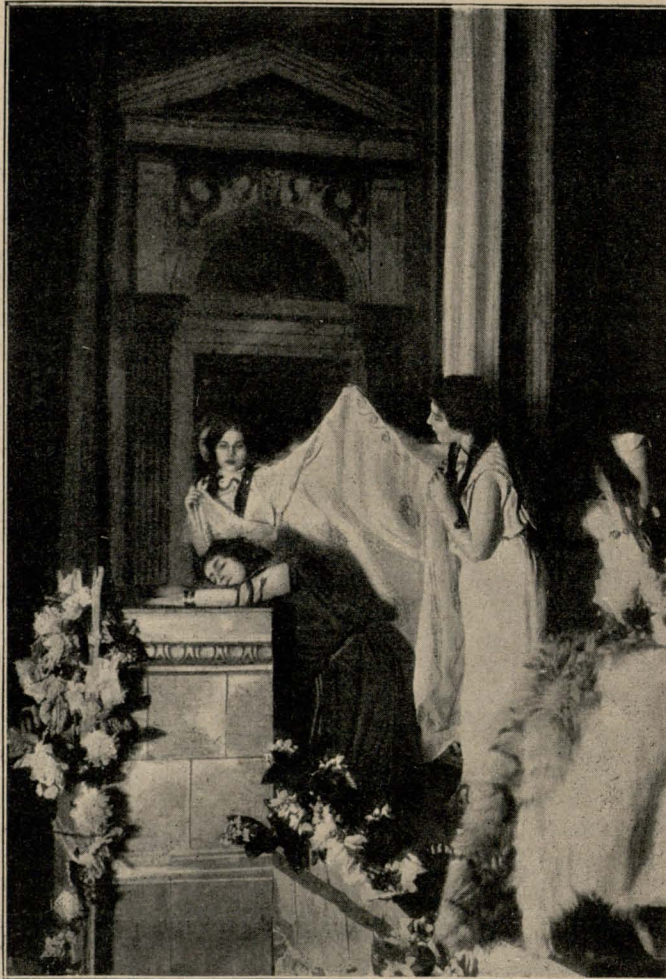
EDWARD LUBOWSKI.

„Tygodnik Ilustrowany“ z dnia 21 lutego 1885 r.

ADAM ASNYK:

## HELENIE MODRZEJEWSKIEJ.

Ponad tem wszystkim, co początek bierze  
W ciężkiej i dusznej życia atmosferze;  
Ponad tem wszystkim, co się ęmi i wicherzy  
W prochu tej ziemi, jak owad najlichszy;  
Ponad tem wszystkim, co z niesforną wrzawą  
Goni za chlebem, miłością lub stawą  
I, świecąc chwilę, znou w mroku ginie  
W łez, krwi i błota dziwnej mieszaninie:  
Ponad tem wszystkim—jest jaśniejsza sfera,  
Będąca ziemskiej tęczowem odbiciem;  
Ta zmienne kształty w wieczny blask ubiera  
I, jak posągi, stawia ponad życiem,  
I każdą miłość, co się w proch rozwiła,  
Uwiecznia w krasie dziewiczego ciała,  
I każdą sławę podejmuje z zgliszcza  
I ze rdzy ziemskiej ogniem ją oczyszcza.  
Ta sfera jasna, sfera ideału,  
W którą świat żywych wsiąka wciąż pomatu,  
I gdzie przenosi swoje lzy i nędzę  
Na rajskich marzeń nieśmiertelną przędzę;  
Ta sfera sztuki, jak ją tłum nazywa,  
Wieczyście piękna, wieczyście prawdziwa,  
Ma swoje sługi, którym jest zlecone



Helena Modrzejewska w roli Laodamii w „Protesilasie i Laodamii“ S. Wyspiańskiego.

Ukrytych cudów odchyłać zasłonę;  
Ma swoje sługi wiernie niewolniczo,  
Co wdzięcznym marom, zrodzonym w błękiecie,  
Własnego ducha na chwilę użyczą  
I mglistym kształtom własne dadzą życie,  
I całą swoją roztrwonią istotę  
Na ich nadziejską walkę i tęsknotę  
I trwają, błyszczą i lecą... dopóki  
Nie strawi ducha boski promień sztuki!  
Biedne ofiary! Im nie wolno w locie  
Opuścić skrzydeł w jakiej cichej grocie,  
Ani ugasić ognia, co je pali,  
Jako jaskółkom gdzie na modrej fali.  
Im, w ideału jarzmie, bez wytchnienia,  
Wszystkie lzy, skargi, krzywdy i cierpienia  
Potrzeba zbierać, każdą ludzką ranę  
Przejmując na swe serce skolatane;  
Trzeba im chodzić w królewskiej purpurze,  
W koronie z szychu i nie giąć się pod nią;  
Odczuć w swych piersiach wszystkie ziemskie burze  
I dyszeć dumą, nienawiścią, zbrodnią;  
Umarłych plemion żywym być wyrazem,  
Kochać, żyć, walczyć, ginąć z niemi razem...  
I wszystkie piękne widma, co się roją,  
Aby ożyły, krwią napoić swoją.

Biedne ofiary! Tłum, co patrzy na nie,  
Widzi utudę tylko i udanie—  
I gdy się ogniem tęczowym zachwycą,  
Nie pyta: czemu go niewolnik podszyca?  
Nie pyta: czemu mieści posąg Nioby  
Tyle kamiennej grozy i żałoby?  
Czemu pieśń, co się w powietrzu roztrąca,  
Jest tyle śpiwna, szałakana i drżąca?  
Czemu ta postać jasna, czysta, biała,  
Spoczywająca dotąd w zapomnieniu,  
Nagle przed okiem widza zmartwychwst. i i  
I w czarodziejskim zakwitła promieniu?  
Skąd płynie fala tych uczuć obfita,  
Co go rwie z sobą? O to tłum nie pyta.  
Pewny, że wzruszeń tajemniczych tęcza  
Bengalskim ogniom początek zawdzięcza.

Nikt nie przeczuwa owej wielkiej rany,  
Skąd krwi upływa strumień nieprzebrany;  
Ani tej walki, co trwa życiem całym  
Z nieuchwyconym nigdy ideałem;  
Ani też nie ma współczujących świadków  
Dla tych porażek, zwątpień i upadków,  
Gdy niewidzialne wyższe mocy ramię  
Słonecznym gońcom skrzydła i lot łamie.  
O! tych wewnętrznych konań ponad światem  
Nie dojrzą nawet oczy najciekawsze;  
Źródło, co było w twórcze lzy bogatem,  
Zostanie ciemną zagadką na zawsze;  
I, gdy duch w prochu szermierze powali,  
Na śmierć zادة i uleci dalej...  
Tłum się nie troszczy o los zapaśnika,  
Ale do domu powraca... i syka.

Strwonione życie! Komedya skończona!  
Nad zwyciężonym zapadła zasłona...  
I głucha cisza zaległa bezzwłocznie,  
Wprzód, zanim w ziemi naprawdę odpocznie.  
Serdecznych natchnień błyski drogocenne,  
Te uleciały ponad prądy zmienne,  
Unosząc z sobą w kraj przyszłości mglisty  
Serce człowieka i duszę artysty:  
Więc pozostaje tylko marą błędną,  
Rozdawszy z siebie wszystko, co najlepsze;  
Zebrane laury do wieczora zwiędną,  
I nikt go piersią swoją nie podeprze,  
Dopiero wtedy, gdy z nędzy człowieczej  
Chłodna go ziemia na zawsze wyleczy,  
Nad grobem miga błędny ogień sławy,  
Przed którym staje przechodzień ciekawy.

A jednak, mimo że ten ból, ta praca,  
W której się własną istotą zatracą,  
Zdaje się niknąć, atom po atomie,  
W wiecznej piękności, blasku i ogromie,  
Jak rosa w słońcu... jednak przecież warto  
Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdarta  
Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem,  
I głodnych karmić ideału chlebem.  
Warto chociażby raz na chwilę jedną,  
Położyć palec na dusz ludzkich ranie  
I w lepsze światy zawieść rzeszę biedną,  
Prawdy i piękna dać jej pożądanie.  
Bo, chociaż twórca i dzieło przemienie,  
Rzucone ziarno zejdzie kiedyś w czynie  
I w przyszłych czynów rycerskiej postaci  
Zapomnianemu sprawcy się wypłaci.

K. M. GÓRSKI:

## PANI HELENIE MODRZEJEWSKIEJ

PRZESYLAJĄC KWIATY.

Za to, że w czasów smutku i posusze  
Młody mi ranek rzuciłaś na duszę  
I że przez sztuki Twojej czar i siła  
I jakaś ufnosć w duszę mi wstąpiła  
I chęć dźwignięcia życia na ramiona,  
Bądź pozdrowiona i błogosławiona.

Nie dziw się, jeśli na kraj Twojej szaty  
Jeszcze niklejsze od słów rzucam kwiaty,  
Bo wobec Twojej duszy one jedne  
Są mi dość świeże, wonne i bezwiedne.  
A choć ich zapach u Twoich stóp skona,  
Ty wiesz, że będziesz mi błogosławiona.

## Na świętego Wojciecha.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Na niewesoły rok zanoszą się rolnikowi.

Posiewy jesienne były późne, potem przyszła zima goła, a mroźna, wreszcie spadły kopne śniegi... Wszystko to niepomyślne wróżby urodzaju.

A i teraz, wbrew kalendarzowi, wbrew nawet przysłowiu, które mówi: „Na świętego Wojciecha jest kobyła pociecha”, żadnej pociechy niema.

Zimno, na nizinach stoją jeszcze wody po roztopach i wylewach, rzadko gdzie z pługiem można było wyjechać w pole, choć pod święty Wojciech ma się.

Tradycyjnym zwyczajem zwykle już o tej porze wypędzano bydło w pole, tymczasem dziś szaro na matce-ziemi, ni kwiatka, ni zieleni.

Ledwie gdzieś tam gdzieś pocziwe wierzyby popuszczaly... Przednowek ciężki dla ludzi i gadziny, bo i paszy brak wogóle. W niektórych okolicach słomy dokupić się trudno.

Chłodno i szaro na ziemi, a i słońko, jakby także miało jakieś „tymczasowe przepisy”, nie tak chodzi, jak chodziło, nie tak przygrzewa.

Niewesoło! Nawet na bujnych prozowskich i rubieszowskich ziemiach (utrzymuję pisownię, jakiej używał niezapomniany Staszic, który w swoim wiekopomnym testamencie wyraźnie pisze „Rubieszów”, a nie Hrubieszów), nawet na tych bogatych glinach i borowinach jeszcze się nie zieleni.

A zieleni to nadzieja, której bogdaj nigdy bardziej, niż dziś, nie łaknęło serce polskie!

Ta ziemia przetrzymała już „ogień i miecze” i „potopy” przetrwała, to, da Bóg, i dzisiejsze swe niedole przeżyje i swojej wiosny doczeka.

Byleśmy tylko „chcieli chcieć”...

Rozochociło mi się serce, jak na śpiewanie, więc i śpiewaniem, jak to w mojej wsi pod święty Wojciech bywało, zakończę.

Może tak kiedy i będzie.

A w tej mojej

Wsi z wiosenki

Wszystko wokół gra!

Wydzwaniają wierzbnę pęki

Różne śpiewki a piosenki,

Huka bór: hu! ha!

Zielony!

Huka bór: hu! ha!

Zielony!

Huka bór: hu! ha!

Leci echem w krąg wesele, kiej na jaki ślub! Grają ziaby, huczają trzmielę! dokoluśka wonne ziele, wonny drzewin czub—śmiejący! Wonny drzewin czub!

A nad polem wedle drogi, gdzie ozimy łan, do brzeziny, do niebogi młody świerczak sunął z nogi! Poszli społem w tan... Hulają! Poszli społem w tan!

Koło stoku, *wej!* doliną nad rzezułką wraz, przysiadł wietrzyk... Robi trzciną, jakby wdychał za dziewczyną, niby który z nas, parobków! niby który z nas!



ORKA WIOSENNA

J. CHELMŃSKI

To się zerwie, to podskoczysz, to znów w zielony zwał, to wierzbiną w pół zatoczy, jakby łaknął zajrzeć w oczy, albo buzie chciał—maliny!

Albo buzie chciał.  
Dojrzał widać ich oboje zdala stary las...

Wspomniał młode lata swoje, skrzyknął grajków na pokoje, wziął się pod bok, w pas... I śpiewa!

Wziął się pod bok w pas!

Śpiewa... śpiewa... pokrzykuje... cały strojny w majl słonkiem, tęczę po-brzękuje, a przed grajkiem przykazuje:

— Takiego mi graj. Ja... płacę! takiego mi graj!

A w tej mojej

Wsi o wiosnie

Wszystko szczęściem gra!

Wszystkim raźnie a radośnie...

Nawet bociek *wej!* na sośnie

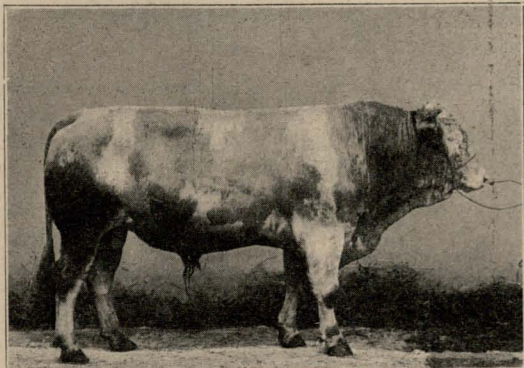
Swoje gniazdo ma!

Szczęśliwy!

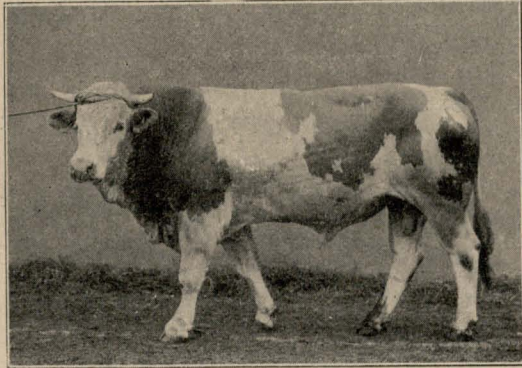
Swoje gniazdo ma!

O to gniazdo tylko chodzi.

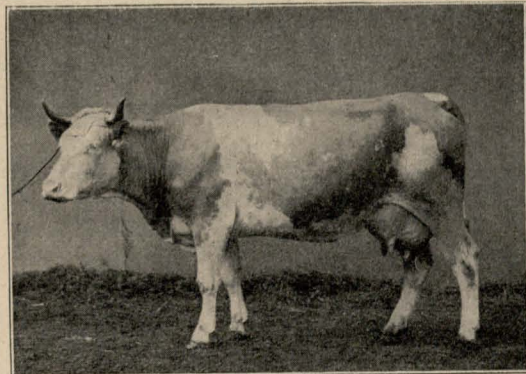
KAZ. LASKOWSKI.



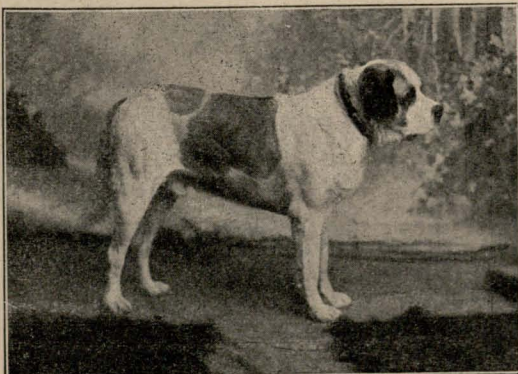
„Piccolo“, własność syndykatu Veveysé.



Okaz rasy Simenthal.



Krowa rasy Simenthal.



Pies czystej rasy St. Bernard.

## W dolinie Simenthalu.

Od jednego z najwybitniejszych hodowców na Podolu, p. Jana Narkiewicza Jodki z Bębnowki otrzymujemy kilka uwag i wrażeń, dotyczących hodowli Simenthalerów. Ponieważ sprawa hodowli jest u nas zawsze sprawą palącą i na dobie, ponieważ uwagi pochodzą z pod pióra kompetentnego, drukujemy je chętnie, jakkolwiek wiemy, że rasa szwajcarska nie jest wśród hodowców Królestwa popularna. Natomiast, jak nas informuje p. Narkiewicz Jodko, rozpowszechnia się coraz bardziej na Podolu.

Zachwylił mnie przedewszystkiem system alpowania, który się, niestety, nigdzieindziej zastosować nie da. Młode bydło, byczki i cieliczki, przez dwa lata oddawane jest na paszę właścicielom pastwisk górskich, wznoszących się aż do 2,000 metrów nad poziom morza. Najgorętsze miesiące lata bydło spędza na najwyższych szczytach. Potem schodzi coraz niżej, aż w końcu powraca do swych obór.

Łatwo sobie przedstawić, jak podobne warunki, a mianowicie wyborna

pasza, źródła, ze skał białe, powietrze najczystsze, ruch ciągły wpływają na rozwój i zdrowotność młodzieży. A przez to samo łatwo zrozumieć, jak ważnym i pożądanym jest dla naszej hodowli odnawianie krwi za pomocą reproduktorów, z miejsca pochodzenia sprowadzanych, a wychowanych w tak wyjątkowo pomyslnych warunkach.

Druga rzecz zastanowiła mnie bardzo, a mianowicie antagonizm, jaki istnieje między hodowcami dolin: Simmen i Saanen (Simenthalu i Saanenthalu) a hodowcami okolicznych kantonów.

Pierwsi mówią: „U nas tylko przechowała się w całej czystości krew Simenthalerów. Niema ceny na reproduktora dobrego pochodzenia”.

Drudzy zaś twierdzą: „Nie przeczyamy, żeście mieli dawniej pewne zasługi, że przez selekcję utrzymaliście czystość rasy. Ale obecnie myśmy was wyprzedzili. Nasze federacje syndykatów tak poważnie są kierowane, księgi nasze zarodowe tak są ścisłe, kontrola i wyznaczanie na punkty reproduktorów tylko premiowanych tak surowo przestrzegane, żeśmy was wyprzedzili o głowę. My swoje bydło nazywamy czerwono-srokatem, ale jest to identycznie ta sama rasa, co wasza.

„Co zaś do maści, i jedni, i drudzy popełniliśmy ten sam błąd. Stosując się do mody, a raczej zapotrzebowania, wytworzyliśmy maść zbyt jasną,

niekiedy prawie białą, wydelikaciliśmy swe bydło, i już teraz silny zwrot czuć się daje w kierunku czerwono-srokatym”.

Zresztą antagonizm między hodowcami jest natury czysto akademickiej. Praktyczni Helweci nie posuwają go zbyt daleko. Hodowcy Simenthalu często kupują cielęta w kantonach okolicznych, a po okresie „alpowania” sprzedają je za swoje, hodowcy zaś okolicznych kantonów kupują nieraz w Simenthalu byki pierwszorzędnej wartości, płacąc za nie bajeczne ceny.

Co do cen właśnie, jak się upewniłem u osób bardzo kompetentnych, pięknego byczka wysokiej krwi dostać można na targach i konkursach w Tavet, Ostermündingen, Bulle i t. d. za cenę od 800 do 1,500 franków, u hodowców zaś trzeba nieraz za pięknego byka zapłacić 3—5, a nawet 7 tysięcy franków.

Najlepszych, najdokładniejszych informacji gotów jest udzielać naszym hodowcom prezes federacji syndykatów hodowlanych, Jan de Wattenwyl, mieszkający zimową porą w Bernie, na ulicy des Gentilshommes Nr. 31, w lecie zaś w zamku Elfenau pod Bernem, a także jego sekretarz, p. Lüthy, mieszkający obok stacji Zollikofen o dwieście minut drogi od Bernu.

JAN NARKIEWICZ JODKO.



Widok z krainy Simenthalerów.

## OD ADMINISTRACYI.

Z powodu nadspodziewanie licznych zażądań dzieł dla prenumeratorów „Tygodnika”niżonych i w skutek tego wyczerpania pewnych tomów, zmuszeni jesteśmy dzieła wyczerpane zastąpić innemi, o czem Szanownych Prenumeratorów niniejszem zawiadamiamy.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wręczenie opłaty na kwartał drugi roku bieżącego.

## ZJAZD „OGNIWA“.



W pierwszych dniach b. m. odbył się w Cieszynie zjazd delegatów Towarzystwa polskiej młodzieży akademickiej, należących do związku, zwanego „Ogniwo“. Celem tego związku jest kierowanie i ujednostajnianie opinii patriotycznej młodzieży polskiej w sprawach narodowych. Trzydniowe narady zjazdu poświęcone były rozmaitym sprawom młodzieży, jako też ogólno-narodowym, w których powzięto szereg nacechowanych gorącym patriotyzmem rezolucji.

## Z pod pióra.

ANTONI LANGE.

Jeden z najbardziej utalentowanych poetów, o gruntownym i wszechstronnym wykształceniu, wielki znawca literatury wszechświatowej, od eposów wschodnich, babilońskich i indyjskich, do współczesnej poezji narodów Zachodu, od dłuższego czasu przebywa w Paryżu, w tem ognisku wiedzy i kultury dzisiejszej.

Na zapytanie nasze listowne, jakie są jego dalsze zamierzenia literackie, otrzymujemy następujące informacje:

— Przedewszystkiem muszę powiedzieć o powieści, którą właśnie zacząłem pisać. Nowy to rodzaj w mojej twórczości, dotychczas bowiem, prócz kilku nowel, nie miałem się beletrystyki. Tytuł — „Stypa“. Jest to właściwie zbiór opowiadań, a treść ich następująca. Grupa przyjaciół po samobójstwie jednego z nich zbiera się w knajpcie i opowiadają sobie różne historie na temat kobiety. Miałem na celu raczej zabawienie czytelnika, niż jego zbawienie, pragnąłem, by powieść toczyła się gładko, wesoło, prawie humorystycznie, a dla czytelnika przyjemnie. Kiedy będzie ukończona, nie wiem dokładnie, ale niezawodnie jeszcze w roku bieżącym. Nie zdecydowałem również jeszcze, komu ją przeznaczyć.

— Co do utworów lirycznych, nie ustaję w pracy. Mam do rozporządzenia wiązanek wierszy oryginalnych, a także pracuję nad dalszymi częściami „Mahabharaty“, której fragment: „Nal i Damajanti“, ogłosiłem przed dwoma laty.

— Wreszcie pragnę przyswoić naszej literaturze nowelę zmarłego przed dziesięciu laty, a mało u nas znanego romansopisarza angielskiego, Williama Blacke'a. A może i oryginalną jaką nowelę w najbliższym czasie napiszę. Oto wszystko, co mogę dziś powiedzieć. GAMMA.

## PRZEGLĄD PRASY.

W ostatnim zeszycie *Kwartalnika Historycznego* znajdujemy ciekawą wiadomość o archiwum Stanisława Augusta, podaną przez ks. M. Godlewskiego, profesora petersb. Akademii duchownej. Archiwum Poniatowskiego znajduje się w rozproszeniu: część dostała się do Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, część przeszła do obecnego właściciela, pana Pawła Popiela w Krakowie, niektóre ułamki są w Zatorze i Jabłonie; główna wszakże zawartość papierów, jakie król zabrał z sobą z Warszawy i Grodna do Petersburga, została włączona po jego śmierci do rządowych archiwów rosyjskich w Moskwie i Petersburgu. Spis pozostałych po królu rękopisów daje pojęcie o ich niezmiernie wartości naukowej: są tam korespondencje z dworami zagranicznymi, ambasadorami, ministrami, dokumenty o najważniejszych sprawach państwowych, listy do wybitnych osobistości współczesnych, rachunki królewskie, nade wszystko zaś niesłychanie interesujące dziesięciotomowe pamiętniki Stanisła-

wa Augusta, słowiańskiej w świetle krytyki“, St. Kutrzeby „Datastanagirk Mechitara Go-sza i statut ormiański z r. 1515“.

## ROZWIĄZANIE ZAGADKI.



Ofiara tajemniczej zbrodni w Rzymie. Na zasadzie poszukiwań policyjnych okazało się, że zabitym był niejaki Edmund Tarantowicz z Konstanytowna w Lubelskiem.

## Pokłosie wydawnicze.

Marya Czesława Przewóska (Helia). Eliza Orzeszkowa w literaturze i w ruchu kobiecym, zarys syntetyczny. List jubilatki, wyd. II, Kraków, 1909.

Książeczka niniejsza składa się z dwu szkiców. Jeden z nich, p. t. „Eliza Orzeszkowa, jej życie i dzieła“, to dość pobieżny rzut oka na 40-letnie działalności pisarskiej autorki „Nad Niemnem“, od 1866 do 1906 roku. Drugi, zatytułowany: „Eliza Orzeszkowa i jej stanowisko w ruchu kobie-

cym“, jest znacznie więcej pogłębiony, podkreśla trafnie cechy wytworne umysłu i charakteru Orzeszkowej, jako głosicielki hasła emancypacyjnych, zaznacza słusznie, że podstawą jej poglądów w tym względzie był wysoki ideał etyczny, chrześcijański i narodowy. Ta, która postawiła rodzakom swoim za cel stworzenie typu kobiety „mędrca i anioła“, która mniej mówiła o „prawach“, a więcej o obowiązkach, godna jest stanąć w rzędzie takich niewiast apostołek, jak Ellen Key, Lily Braun, choć inna od nich zgoła.

## ZMARLI.

KAMILLA Z KRASOWSKICH JERZMANOWSKA, matka zmarłego niedawno głośnego filantrop-



pa, p. Erazma Jerzmanowskiego, zmarła w Warszawie w wieku lat 85.

KONSTANTY WOŁODKOWICZ. W Monte-Carlo zmarł 8 b. m. znany filantrop, ś. p. Konstanty Wołodkowiec, w 82 roku życia. Zmarły, dorobiwszy się na handlu w Odessie ogromnego majątku, spędzał najchętniej ostatnie lata swego pracowitego życia w umiłowanym przez siebie Krakowie. Tu hojnym darem 180 tysięcy koron przyczynił się do wybudowania wspólnego Domu akademickiego, w którym, obok pomieszczenia dla Towarzystw akademickich, 120 niezamożnych



studentów ma bezpłatne pomieszkowanie. Ś. p. Wołodkowiec ofiarował nadto gminie m. Krakowa dwa piękne pomniki: Fredry i Chopina. Akademia Umiejętności posiada od niego także kilka poważnych legatów. Zmarły był też wielkim przyjacielem Rusinów i wielbicielem poezji Szewczenki. Wielki biust tego poety narodowego Ukrainy wykonał na jego zamówienie artysta-rzeźbiarz Godebski. Wołodkowiec darował go następnie Rusinom we Lwowie. Nadto ufundował ś. p. Wołodkowiec jedno duże stypendjum dla młodych uczonych rusińskich, studyjujących zagranicą.

MEBLE STYLowe M. KALMUS  
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że WODY MINERALNE SZTUCZNE wyrobu WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“ ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu. Zarząd.

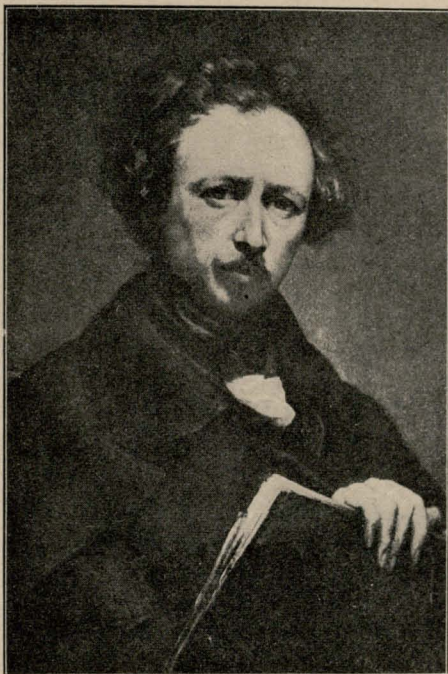
DERENIÓWKE POLECA  
DYSTYLARNIA PAROWA  
F. JANKOWSKIEGO.LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.  
„ENGLISH CLOTHING HOUSE“.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO  
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,  
przeszła na własność  
GEBETHNERA i WOLFFA.

## PROJEKTOWANA GUBERNIA CHEŁMSKA.



P. Stefan Dziewulski, redaktor *Ekonomisty*, wydał bardzo pożyteczną książkę p. t. „Statystyka ludności gubernii lubelskiej i siedleckiej, wobec projektu utworzenia gubernii chełmskiej“. O pracy tej wspominał już Bolesław Prus w jednej ze swych ostatnich „Kronik tygodniowych“. Tablice statystyczne są tam najdokładniejsze, przejrzane i poprawione, co daje wyniki, poważnie różniące się od danych Warszawskiego Komitetu Statystycznego. Następnie po raz pierwszy znajdujemy tu sumy i procenty, obliczone w stosunku do przyszłego terytorium projektowanej gub. chełmskiej, o ile za punkt wyjścia wziętą uchwałę Rady Ministrów z d. 28 grudnia 1906 r. Cyfry te posłużyły za materiał do mapy, dołączonej do broszury, którą zamieszczamy wyżej. Jest to pierwsza mapa projektowanej gubernii chełmskiej, wedle wzmiankowanej uchwały Komitetu Ministrów. Czy w zupełności odpowiada ostatniemu projektowi, Najwyższe zatwierdzone w marcu — niewiadomo, projekt ten bowiem dotąd nie został opublikowany. Cyfry oznaczają procenty ludności prawosławnej w poszczególnych gminach.



PORTRET WŁASNY ARY SCHEFFER

## Zygmunt Krasiński i Ary Scheffer. \*)

Jednym z przedmiotów najbardziej godnych badawczego umysłu w historii literatury jest niewątpliwie śledzenie stosunku, w jakim pozostają wielcy poeci do innych dziedzin twórczości: sztuki plastycznych i muzyki. Jest bowiem tajemniczy związek pomiędzy udziałem państwami piękna, i trudno wyobrazić sobie poetę—prawdziwego poetę, a nie rymotwórcę, choćby najbardziej uczonego—któryby obojętny był na wrażenia, jakich dostarczają nam: malarstwo, rzeźba, muzyka...

I nie są te badania jakąś ciekawostką, biograficznym wścibstwem natrętnym a niedyskretnym. Przeciwnie, nie tak nie zbliża nas do rozwiązania owej najcudowniejszej zagadki psychologicznej, jaką jest twórczość poetycka, nie tak nie pomaga rozpoznać i określić pierwiastki składowe poezji: żywioły plastyczne i muzyczne. A przecież to rozstrzyga o typie i rodzaju talentu, i tu również należy szukać rozwiązania innej, podobnie tajemniczej sprawy: czaru, jaki dzieła sztuki rzucają na dusze ludzkie... Słowem, psychologia twórczości i psychologia odczuwania.

Tylko, że u nas o tych rzeczach bardzo niewiele się myśli. Studya psychologiczne nad arcydziełami naszej poezji są zaledwie w kolebce.

Dotychczas bowiem mamy tylko przyczynki i—surówce materyały. Liczbę jednych i drugich zarazem zbogaciła świeżo praca, dokonana przez p. Leopolda Wellischa, p. t. „Zygmunt Krasiński i Ary Scheffer”.

O Ary Schefferze, malarzu holenderskim, urodzonym w Dordrechcie w 1795 roku, zmarłym w Argenteuil 15 czerwca 1858 r., przyjacielu Polaków, Krasińskiego, Norwida, Chopina, wiedzieliśmy bardzo niewiele. Znany nam był tylko portret autora „Przedświtu” jego pędzla, jeden z najlepszych i najpopularniejszych wizerunków poety. Że portretował on również żonę, dzieci i siostrę Zygmunta, księżnę Odescalchi, i Delfinę Potocką, o tem już znacznie mniej wiadano. Portret Chopina znany był tylko z lichych kopii i fotografii, a o ciekawej niezmiernie wymianie listów pomiędzy Schefferem a Krasińskim nie wiedzieliśmy nic zgoła.

I oto mamy je teraz przed sobą wszystkie, w oryginałach francuskich. Rzucają one światło przenikliwe na ostatnią epokę życia i twórczości Zygmunta, na okres powstawania i wykończania „Psalmów przyszłości”, „Resurrecturis”, „Ostatniego”, „Dnia dzisiejszego”...

\*) Z powodu książki: „Zygmunt Krasiński i Ary Scheffer, listy z nieznanymi rękopisami”, wydał, wstępem i przypisami opatrzył Leopold Wellisch. Warszawa, 1909.

Jakże piękna przemawia w nich dusza! jakież wzniosłe uczucia i myśli kłębiły się pod tem myślącym czołem. Krasiński był wówczas u szczytu swej potęgi duchowej. Był mistrzem i przewodnikiem narodu, głębokim mędrce-moralistą. I oto w stosunku do tego artysty-cudzoziemca, w którym poznał duszę wzniosłą i pokrewną, występuje on w roli nauczyciela: czy mówi o przewrotach politycznych we Francji od r. 1848, czy o sztuce i pięknie, czy wreszcie o Polsce i jej Chrystusowym posłannictwie w dziejach (obszerny, piękny list z Nicei z dnia 29 grudnia 1845 r.).

A owo pismo, pełne bólu, krwawiącego serca, i skargi strasznej, i jęku, od którego „bieleje włos”: z dn. 5 kwietnia 1846 roku, w kilka tygodni po krwawej pamięci rzezi galicyjskiej, co „naszą przyszłość cofnęła wstecz”, z tej doby, kiedy zdawało się wąpiącym i zrozpaczonym, iż „się w ciemnie zasuwany, a nie w zorzę”...

Albo ów drugi list, pisany w ciężkich chwilach choroby śmiertelnej ukochanego synka Adzia, boleści ojcowskiej i rezygnacji męskiej pełny, nie istnyż to tron czarnoleski?...

W jakiej mierze książka niniejsza jest przyczynkiem do psychologii poety? czy odkrywa w nim nową wyobraźnię władzę: zdolność odczuwania piękności dzieł plastycznych?

Krasiński był w poezji raczej muzykiem, niż malarzem. I nie dziw: chory na oczy od wcz-



ELIZA KRASIŃSKA Z DZIEĆMI ARY SCHEFFER

snego dzieciństwa, całe dni spędzający w przyćmionym pokoju, na harmonię barw i kształtów był nieczuły. „Ja jakoś dość obojętny jestem na obrazy, może to i stąd pozhodzi, że nie mogę patrzeć na nie długo bez bólu w oczach”, pisze do Garczyńskiego z Włoch w r. 1835.



FRANCESCA di RIMINI

ARY SCHEFFER



Św. MONIKA i Św. AUGUSTYN ARY SCHEFFER

W utworach jego żywioł malarski, krajobrazowy występuje dość rzadko (np. we wstępie do IV części „Nie-Boskiej Komedii”). Niemożnością odbierania nowych wrażeń wzrokowych w pełnym świetle słońca tłumaczy się ten fakt, napozór dziwny, że tyle scen w jego dziełach ma za tło nocne cienie i blade błyski miesiąca, jak np. liczne obrazy „Agaj-Hana”, „Nie-Boskiej” (cała część III) „Irydyona” (epilog), „Nocy Letniej”.

Natomiast na wrażenia muzyczne chora dusza Zygmunta była czuła niezmiernie. Świadczy o tem wpływ kojący, jaki wywierała na niego subtelna gra Konstantego Danielewicza, przyjaciela i towarzysza w wędrówkach po Europie, utalentowanego artysty - muzyka, świadczą wiersze, podkładane pod muzykę, a wyrte na fortepianie Delfiny Potockiej, której gra również przynosiła ulgę starganym nerwom poety; świadczy wreszcie i melodyjność takich utworów, jak „Przedświt”, „Psalm nadziei”, gdzie myśliciel nie zabijał w nim artysty.

Wydawca listów do Ary Scheffera, p. Wellisch, skłonny jest do przypuszczenia, że korespondencja ta dowodzi wrażliwości poety na podnieoty wzrokowe. Czy tak jest wistocie?

Ośmielamy się wątpić. Cała twórczość Krasińskiego z tego okresu, poprzedświtowa nie okazuje najmniejszego zainteresowania się światem zewnętrznym, nie zawiera ani jednego obrazu. Zachwył nad Schefferem z innego płynie źródła.

Jeżeli np. Krasiński unosi się nad „Świątą Moniką”, to dlatego, że odpowiada ona najlepiej ideałom mistycznym poety, jest jakby wcieleniem plastycznym myśli i dążeń, zawartych w „Synu Cieniów”, „Psalmach przyszłości”, „Glossie św. Teresy”...

Drugie dzieło Ary-Scheffera, wspomniane w tej korespondencji: „Francesca di Rimini”—to ilustracja do „Piekła” Dantego. Już to samo pociągnąć musiało tego, kto, „jak Dant, za życia, przeszedł przez piekło”. A potem „Boska komedia” od wczesnej młodości była ukochanym dziełem Zygmunta: pod auspicjami wszak Dantego powstała „Nie-Boska”, „Pokusa”, „Niedokończony poemat”. Tak więc „Francesca” zajęła naszego poetę nie swą malarską stroną, ale przedewszystkiem literacką, a potem—filozoficzną. Wszak poeta znajduje w niej treść „głęboko teologiczną i dantejską”, wszak nie waha się odszukać tu jedną z manifestacji „tego wielkiego dramatu, który rozgrywa się między Ziemią, Niebem i Piekłem”...

Do wizerunku więc Krasińskiego, jako filozofa-moralisty, przybywają szczegóły nowe, bardzo charakterystyczne. H. G.

Była godzina trzecia po południu. Księżna siedziała na krytej werendzie w dość licz-  
nem otoczeniu. Towarzyszyły jej panie do-  
mowe i pani Krystyna i Kazimierz. Był i je-  
den pan, niknący w zgromadzeniu, ale w po-  
jedynekę interesujący już samą postacią: hra-  
bia Wiktor Hylzen. Drobny, o pięknej, su-  
chej głowie wdowiec czterdziestoletni, miał  
pozory zimne, grzeczne i rycerskie, zespo-  
lone w postaci, budzącej szacunek, pomimo  
nizkiego wzrostu; miniatura salonowego szlach-  
cica z 18-go wieku. Budziszowie i Assern-  
hof krążyli gdzieś po parku. Miś i Beno  
polowali z wyżłem na cietrzewie. Chmara,  
wiecznie zajęty, siedział w swoim gabinecie.

Fedkowicz, wchodząc na werendę, udał  
się wprost do księżnej Katarzyny i, usado-  
wiwszy się na niskim taborecie przed jej  
kolanami, załamał ręce:

— Księżna wygląda dzisiaj, jak ju-  
trzenka!

— Czy pan zwaryował, kochany panie  
Fedkowicz?

— Waryuję zawsze, kiedy księżnę zo-  
baczę. Cóż—wszyscy wiedzą—niechaj i wi-  
dzą. Mogę sobie być śmieszny.

— Jest pod tą deklaracją jakiś interes.

— Ot, zgadła księżna. Ale interes pu-  
bliczny, jak u mnie zawsze. Poprzez moją  
prośbę i obecny tu pan Kazimierz.

Zwrócono oczy na Rokszyckiego, który  
zadziwił się:

— Ja?... nie wiem, o co chodzi.

— Zaraz—mówił dalej Fedkowicz.—Na-  
si mili goście z Królestwa na obradach nie  
mogli zabrać głosu w kwestyach, które pra-  
gnął przedstawić pan Apolinary Budzisz.

— Cóż ja na to poradzę, kochany pa-  
nie?—rzekła księżna, spoglądając to na Fed-  
kowicza, to na Rokszyckiego.

— Otóż trzebaby raz jeszcze zwołać  
grono mężczyzn...

— A nie! Chce pan, abyśmy tu znowu  
siedzieli, jak... w seraju, czekając, aż nas  
kto odwiedzi. Mam dosyć tego.

— Gdyby jednak księżna uznała potrze-  
bę krajową, użyłaby swego niechybnego wpły-  
wu na Eustachego, bo on się opiera.

— Widzi pan: i on nie chce. Musi to  
być niepotrzebne.

Pani Krystyna obserwowła tymczasem  
Rokszyckiego i spostrzegła, że on, z po-  
czątku zadziwiony wystąpieniem Fedkowicza,  
skłania się teraz do jego projektu. Więc  
przemówiła do księżnej Katarzyny:

— Jechałam wczoraj z lasu z panem  
Budziszem. Skarżył mi się, że nie mógł się  
dotąd porozumieć co do ważnych spraw, dla  
których przyjechał do Rarogów. Niech księż-  
na wyrobi u pana Eustachego taką sesję—  
krótką. Proszę, proszę.

Pani Krystyna wszystko robiła z wdzię-  
kiem, więc i prosiła bardzo ładnie. Zdziwi-  
ło tylko księżnę, że właśnie Krystyna prosi,  
co nie było w jej zwyczajach.

— Moje dzieci!—rzekła cyrkularnie do  
obecnych—chciałabym wiedzieć, dlaczego tu

potrzeba aż mojej interwencji? Chmara za-  
pewne odpowiedział, dlaczego nie chce?

— Ma skrupuły—objaśnił Fedkowicz—  
że niby nasze zjazdy mają się zajmować  
tylko miejscowymi sprawami.

— A widzicie, on ma rację.

— Ależ osobliwsza okoliczność!—śpie-  
wał Fedkowicz przekonywająco—goście z Kró-  
lestwa. A przecie i księżna sama tu i Eu-  
stachy Chmara! To prawie, jak Duma i Rada  
Państwa na miejscu!

— Dopiero byłam jutrenką, teraz je-  
stem Dumą, czy Radą. Porównaj mnie pan  
jeszcze do jakiejś potęgi, a może pójdę.

Fedkowicz podniósł nerwowo chude ra-  
miona i ręce załamane wyciągnął aż do pod-  
łogi, jakby w rozpacz:

— Cóż?... Katarzyna Wielka, czy co?

— No dobrze, spróbuję. *Je suis bonne  
fille.*

Powstała i z wielkim jedwabnym sze-  
lestem weszła do domu.

— Święta, święta prawdziwa!—modlił  
się Fedkowicz rękoma i oczyma wzniesio-  
nemi w sufit, jakby już oglądał księżnę w gloryi  
niebiańskiej.

Na werendzie tymczasem, po oddaleniu  
się księżnej, rozprzęgło się towarzystwo,  
a przynajmniej Krystyna zeszła do ogrodu  
i zawołała za sobą Kazimierza.

— Uważał pan, że przeszkadzają nam  
rozmawiać z sobą swobodnie?

— Uważałem. Zwłaszcza księżna nie  
mogła na chwilę bez pani pozostać, ani wczoraj  
wieczorem, ani dzisiaj rano. Czy to  
zawsze tak?

— Szczególniej, kiedy ja idę, jak oni  
mówią, „w niepożądanym kierunku”. Pan  
jest dzisiaj niepożądanym kierunkiem.

— Ależ to wybornie! ja wcale nie chcę  
być „ich kierunkiem”!

— Spodziewam się!

— Bo mówimy o barwie politycznej  
pana Chmary, księżnej, Fedkowicza, Hylze-  
na—nieprawdaz?

— Tak, tak. Tylko co do Hylzena, pan  
się pomylił, bo go nie dość zna. To porząd-  
ny Polak, trochę tylko przekorny. Tak się  
boi omylić, tak się zatapia w okolicznościach  
łagodzących, że aż czasem w zdaniu nawias  
wysunie naprzód, zamiast treści głównej.  
I tak się często, niechcący, przedstawi w złem  
świecie. Już i panu naprzykład dał o sobie  
fałszywe pojęcie.

— Doskonale go pani rysuje—i broni.

— Bo trzeba i w polityce odróżnić  
ludzi z sumieniem od takich, którzy go nie  
mają. Prawda?

— Najczystsza prawda, bez zastrzeżeń.

— Więc pan Wiktor Hylzen ma su-  
mienie, tylko się gubi w dyplomacji. Bę-  
dzie słuchał naprzykład takich herezy, jak  
to księżna Katarzyna potrafi czasem palnąć,  
i zacznie się tej herezy przyglądać, przy-  
glądać, zanim powie, że jest przeciwnego  
zdania. Ale niekiedy człowiek nie ma czasu  
tak długo słuchać!

— Rozumiem idealnie. Bo też pani  
i mówi wybornie, nawet o polityce. Jeżeli  
dojdzie do skutku rada, którą tam księżna  
poszła wyrabiać, postaram się bliżej poznać  
Hylzena, zwrócę uwagę i wuja Apolinarego...

— Niech go pan pozna. Są i inni:  
Assernhof—trochę za lekki, Hieronim Bu-  
dzisz—trochę za ciężki...

— Niema ludzi idealnych.

— Ale trzebaby zebrać choćby jakieś  
stowarzyszenie, choćby spisek...

— Ludzi idealnych?

— Ludzi... prawdziwych. Bo męką jest  
ten fałsz spólczesny. Rozum—to fałsz; cno-  
ta—fałsz; dobro ogółu, miłość, religia—wszyst-  
ko fałsz.

— Pani doznała ciężkich rozczarowań.

— Nie tylko ja. Wszystkich nas, my-  
ślących, rozczarowało życie, które płynie, tak-  
kie podłe! Podejść bliźniego i wyzyskać—  
to rozum. Zbogacić się i należeć do sfer  
panujących—to cnota. Wszystkie dawne za-  
sady, oparte na miłości, poszły w pośmie-  
wisko. Czy pan tego nie zauważył wszę-  
dzie: w życiu, w książkach?

— Jest tego dużo. Ale są i inne prądy,  
najnowsze. Budzi się sumienie świata.

— Gdzie, panie? Czy pan wie, gdzie  
ono się budzi? Chodźmy tam, gdzie się bu-  
dzi sumienie!

Mówiła bez uśmiechu, dziecinnie pra-  
gnącemi, a jednak namiętными ustami.

— Pójść tam nie można, bo przecie  
niema na świecie jakiejś określonej kolonii  
ludzi lepszych, tylko w krew ogółu przesą-  
czają się pierwiastki odżywiający i przera-  
biają świat. Kiedy sami w sobie czujemy  
oburzenie na zło i gorące pragnienie zmiany,  
to już symptomat, że życie przyszłe zwycięża  
zgniliznę dzisiejszą.

Krystyna słuchała z przejęciem. Gdy  
skończył Kazimierz, rzekła, zatrzymując się  
w przechadzce:

— Panie! pan dopowiada rzeczy moje—  
tak mi jasno się czyni.—Jabym mogła tak-  
że coś objaśnić z rzeczy tutejszych, w czemś  
pomódz—a pan mnie!

Wyciągnęła do niego obie ręce.

W tej chwili postyszeli dość kwaśny,  
choć udający swobodę głos księżnej:

— Krysiu! Krysiu!

Stała nad schodami werendy, podparta  
oburącz pod boki, mrużąc szare oczy zło-  
śliwie:

— Zaraz!—odkrzyknęła Krystyna zda-  
leka—za chwilę.

I oddaliła się na jedno jeszcze, ostatnie  
staje przechadzki z Kazimierzem, aż do za-  
krętu trawnika.

— Już znowu! Właśnie tak było do-  
brze.—Kiedy pan wyjeżdża?

— Budziszowie wyjeżdżają jutro.

— A pan nie może zostać?

— Przyjechałem z nimi. Obiecałem po-  
wrócić do Wiszun.

— Do Wiszun? po co?



— Po nic właściwie. Taki był projekt.  
— Niech pan nie wraca do Wiszun!  
— Zaraz, pani... zostawiłem tam trochę rzeczy.

— Ja pošę po te rzeczy swojego własnego leśnika.

— Jeżeli łaska?

— Więc pan nie wróci do Wiszun?

— W takim razie—nie.

— Dziękuję. A dokąd pan tu zabawi?

— Jak się uda.

Wracali, milcząc. Twarze ich i oczy weszły odrazu w rozterkę z oczyma ludzi, oczekujących na werendzie. Spojrzenia nie chciały się łączyć, ślizgały się jedne po drugich. Oczy, które wracały z ogrodu, mówiły:

— Żal nam, nie chcemy was i nie chcemy się tłómaczyć.

A oczy ludzi, nie pokalanych żadną zdrożnością światową, odpowiadały:

— Ahaa... spiskujecie tam z sobą? Nie pozwolimy na to.

Ale rozmowę zaczęła bardzo naturalnie księżna Katarzyna:

— Muszę wam przecie zdać relację, skoro mnie wystaliście.—Pan Chmara zgadza się na konferencję.

— Ot, kiedy ukaz, to ukaz!—zawołał Fedkowicz.

— Zawsze mówiłem, że umiejętność układów powinna się nazywać nie dyplomatyką, lecz dyplomatką—dodał hrabia Hylzen z przyjemnym uśmiechem.

— Poczekajcie... Pan Chmara zgadza się, ale bardzo prosi, aby nie było sesji, prezydowania, rozdawania głosów—*et tout ce bataclan*. Zejdziecie się panowie około piątej w jego gabinecie, na cygara. A mówić sobie wtedy będziecie mogli, co się wam podoba. No—jesteście kontenci?

— Jeszcze lepiej! swoboda! gawęda! a to już od nas zależy, jaka—wołał Fedkowicz.

I, ucałowawszy obie ręce księżnej, poleciał do parku szukać Apolinarego Budzisa.

— Czy pan trochę senny jeszcze po wczorajszym polowaniu?—zwróciła się księżna do Rokszyckiego.

— Nie. Dlaczego?

— Mógłby mi pan podziękować. Przecie dla pana męczyłam przez pół godziny mego przyjaciela, aż sama się zmordowałam. Dajcie mi kawy.

Rokszycki zdobył się na uprzejmość, skłonił się pośpiesznie, chwycił za imbryk z kawą—w czem zresztą wyręczyła go Krystyna—i mówił, przysiadłszy się bliżej do księżnej:

— Rzeczywiście, usnąłem. Myślałem już o tej sesji, a tu najprzód należą się dzięki księżnej [za tak uprzejme... za taką pomoc w sprawie publicznej.

— Nie wiem, jaka tam sprawa publiczna, tylko chciałam panu zrobić przyjemność. A wyście radzili z Krysią o tej sprawie?

Chwiała palcem, ozdobionym pięknymi pierścionkami, wskazując kolejno na Kazimierza i na Krystynę, jakby liczyła: dwa razy jeden—dwa, albo groziła.

— Ja z panią o tej sprawie? Nie. Dopiero teraz pomyślałem.

— Pan jest także polityk, jak krewny pana?

— Wcale nie zawodowy, proszę księżnej.

— To niech się pan przejdzie ze mną po ogrodzie przed tą sesją. A ty, Krysiu, pogadaj sobie z Hylzenem tymczasem.

— Jak odkomenderowany—rzekł Hylzen—jestem na posterunku. Ale jednym skinieniem może mnie pani oczywiście wyprawić na oddaloną stąd placówkę.

— Nie, owszem, proszę zostać—odpowiedziała pani Krystyna dość uprzejmie.

Komenda księżnej pomijała zupełnie przeznaczenie pani Chmarzyny z córkami, które też siedziały na werendzie. Rozpłynęły się cicho i wsiąkły w dom.

Rokszycki szedł po parku obok księżnej Katarzyny. Żeby mu choć Hylzena pozostawiono za towarzysza—ale Hylzen rozmawiał właśnie z Krystyną. Żeby mu pozwolono udać się do swego pokoju, gdzie spędził już trzy noce dobre, chociaż mniej przespiane, niż przemyślane. Ale nie: musiał stąpać po tym żwirze obok kobiety, która byłaby obojętna, gdyby tu przed chwilą nie miał Kazimierz przy boku Tamtej. Są w życiu wielkoświatowem nudy tragiczne.

Tylko że towarzyszką przechadzki była znawczynią serc męskich i wiedziała dobrze, co nurtuje Kazimierza. Ułatwiła odrazu rozmowę, kierując ją na przedmiot główny:

— Więc pan się naturalnie zakochał w Krysi, jak każdy, co tu przyjeżdża?

— Taka już moda w Rarogach?—próbował Kazimierz wymknąć się.

— Taka fatalność. Zresztą rozumiałe, bo jest bardzo piękna. Saska porcelanka—co?

— Nie powiedziałbym. Ma twarz bardzo wyrazistą, gdy mówi.

— No, co ona tam mówi, to mniej warte. Mówi nieźle, ale raz tak, drugi raz przeciwnie.

— Mówiłem z panią Krystyną wczoraj i dzisiaj i nie zauważyłem sprzeczności.

— Trzeba ją obserwować dłużej. Ja ją znam oddawna, bo nawet mieszkała w naszym domu przez pewien czas. Było z niej trudne dziecko. Najgorszy wpływ miał na nią niejaki ksiądz Wyrwicz, jej nauczyciel. Niby mądry, ale szowinista, i zamiast znajomości świata, uczył jej różnych tam historii i filozofii, które jej się w głowie trochę pomieszały.

Rokszycki postanowił słuchać spokojnie i nie „bronić” pani Krystyny, wiedząc, że wywołałoby to napaść. Ale mimowoli nabierał do pamięci powiadomień faktycznych, choć z mocno podejrzanego źródła.

— Ma naturalnie dużo konkurentów. I każdego pyta po kolei: czy pan ma

sumienie? Każdy odpowiada, że ma. I wtedy jest cudownie: kochają się, chodzą po księżycu, nie wiem, co tam z sobą robią. A po tygodniu ona, zawsze ona dochodzi do przekonania, że on nie ma sumienia. On krzyczy, że ma, a ona nie! idź pan sobie do dyabła! Naturalnie, że ludzie seryo nie biorą jej na seryo. *Somme toute, c'est une pauvre enfant.*

(DCN)

HENRYK MAUVARS:

## Ostatnie lzy.

Zdarzenie to tak utkwilo mi w pamięci, że, pomimo lat minionych, zdaje mi się, iż zaszło dopiero wczoraj.

Miałem lat szesnaście, gdym poznał Virtudes, przyjaciółkę serdeczną kuzynki mojej Manueli. Niemal codziennie widywały się po kilka godzin. Ładna, drobna brunetka, poważna i marząca, liczyła wówczas wiosen osiemnaście. Zaczynano już traktować ją, jako pannę dorosłą, to też przejęła się bardzo ważnością tej przemiany poczwarki w motyla.

Nic więc dziwnego, że w oczach jej uchodziłem za rzecz tak mało znaczną, jak mebel jaki, który spostrzegamy dopiero wówczas, gdy go potrzebujemy.

I było to całkiem naturalne. Bo cóż mógł ją obchodzić niezgrabny i nieśmiały studentik prawa, więcej dzieciak, niż mężczyzna, nie umiejący rozmawiać o niczem innem, jak tylko o naukach swoich?

Niemniej serce tego studentyka biło dla Virtudes tak silnie i gorąco, że, jakkolwiek tyle wody upłynęło pod mostami od tego czasu, to jednak nigdy już nie doznał wrażeń tak silnych, jak wywołane przez tę miłość młodzieńczą, i żadna już kobieta nie zdołała natchnąć go takim uwielbieniem, jak odczuwane względem tej małej.

Bo zakochałem się w niej, zakochałem po raz pierwszy w życiu! I pomimo wysiłków gwałtownych dla ukrycia miłości w najgłębszych zakątkach serca, zdradzałem ją wciąż pomieszaniem w obecności Virtudes, rumieńcami i bledością, gdy przemawiała do mnie. Nie mogłem też uniknąć, aby, od czasu do czasu, rzuciwszy okiem w zwierciadło, nie spostrzegła, że oczy moje przykute są do jej osobki zachwycającej.

Od chwili tej zauważyłem w niej pewną zmianę. Traktowała mnie już mniej pogardliwie, a nawet, wdzięczna instynktownie za hołd, oddawany jej o każdej godzinie i przy każdej sposobności, racyła niekiedy spojrzeć lub przemówić łaskawie, obarczać mnie przysługami drobnymi, jak odszukaniem woreczka, zapomnianego w salonie,



Racyła obarczać mnie przysługami drobnymi.



Z jakąż czułością kwiatek taki pieściłem.

podaniem parasolki przy wyjściu lub powierzeniem paczki, niesionej ze sklepu.

Dowody jej łaski napawały mnie dumą większą, niż gdybym kroczył przez świat, okryty orderami i szamerunkami, niż gdybym prowadził pod rękę królową podczas uroczystości dworskiej!

Przekonany o niższości swojej, nie pożądałem więcej. Byłem szczęśliwy tem, czego mi udzie-

lano, szczęście zaś moje dosięgało granic ostatecznych, gdy zdarzyło mi się podnieść kwiatek zwiedły, który tkwił w jej włosach.

Z jakąż czułością kwiatek taki pieściłem, rozkładałem na ćwiartce bibuły i umieszczałem wśród kartek łacińsko-hiszpańskiego słownika etymologicznego, dzieła, najlepiej nadającego się na zielnik ze względu na wagę i grubość!

Pewnego wszakże dnia słodki przedmiot westchnień moich stał się roztrągnięty, a z wyrazu oczu jego poznałem, że myśli nie o tem, co go otacza.

Początkowo sądziłem, że naraził się na niełaszkę Virtudes przez czyn, gest lub wyraz nie stosowny, dokładałem przeto usiłowań wszelkich, aby dać jej do zrozumienia, że żałuję z całego serca obrazy domniemanej. Gdy zaś i to nie pomogło, serce ścisnęło mi się boleścią, gdyż byłem już pewien, że stan ów anormalny to zwiastun choroby.

Ani domyśliłem się powodu istotnego!

A powód ten, dla mnie straszny, przybrał kształt młodzieńca wysmukłego i muskularnego, o jasnych wąsikach, zadartych do góry. Wprowadzony przed niedawnym czasem do domu kuzynki Manueli, okazywał Virtudes atencję niezwykłą, zasympując ją spojrzeniami, westchnieniami i słówkami miodowemi, które ona, o zgrozo!—przyjmowała bez obojętności, bez pogardy, a nawet z przyjemnością, tudzież objawami zadowolenia wewnętrzznego daleko większemi, niżby wypadało.

Można wyobrazić sobie nienawiść moją dla tego intruza! Nie omijałem żadnej sposobności, aby mu ją okazać, snadź jednak za mało dobitnie, skoro nie zwracał uwagi najmniejszej na impertynencje moje i wybryki. Najsmutniejszym zaś wynikiem postępowania mojego było, że Virtudes spostrzegła je i ukarała oziębłością lodowatą.

— O kobieto lekkomyślna i niewdzięczna—monologowałem w samotności—jakże płytko zapatrujesz się na świat, poddając się urokowi wąsików jasnych i munduru błyskotliwego (ku większemu utrapieniu memu intruz był porucznikiem

pułku huzarów w Pawli!), słówkom impertynenckim i traktowaniu z góry, wykazującym jasno, że człowiek ten nie czuje dla ciebie przywiązania głębokiego, rozpierającego mi serce, czyniącego mnie niemym i niezaradnym wobec piękności twojej, nie pozwalającego mi ujarzmić woli twojej, jak ów przybysz, u którego będziesz tylko jeszcze jedną więcej na długiej liście kochanek!

Cóż jednak poradzą uwagi rozumne, skoro kobieta zadrzy się w takiej marionetce? Nie znaczy to wszelako, abym usiłował przekonywać Virtudes rozumowaniami swemi...

W końcu musiał usłyszeć z usteczek jej słodkie: tak (o serce moje!), i rodzice niewdzięcznej musieli zgodzić się na to, bo zaczął bywać coraz częściej i siadywać w towarzystwie Virtudes na balkonie, gdzie spędzano zwykle chwile wolne.

I oto pewnego wieczora, w godzinie zmroku, gdy nie palono jeszcze latarni ulicznych, ani lamp w domach, a cienie nocy tryumfalne, i gdy Virtudes z wielbicielem swoim, odosobnieni od wszystkich, siedzieli na balkonie, wślizgnąłem się ostrożnie do kącika salonu, skąd widzieć ich mogłem dokładnie.

Mówili z sobą szeptem, a on usiłował ująć jej rączkę, którą cołała na poły ze strachem, na poły z kokieterią w oczach.

On zaś prosił i prosił. Snadź zdecydowana w końcu ustąpić tym błaganiom wielbiciela, rzuciła nagle, pomimo ciemności wzrastającej, okiem badawczym do saloniku, aby przekonać się, czy jej kto nie śledzi, i spotkała wzrok mój, pełen niepokojem, oraz boleści...

Odkrycie to zakomunikowała widocznie towarzyszowi, zwrócił się bowiem nagle ku mnie i, nie ukrywając się bynajmniej, z postanowieniem widocznym, abym był tego świadkiem, ujął jej rączkę białą, przyciągnął do siebie i złożył na niej pocałunek mocny...

Nocy tej wypląkałem ostatnie łzy dziecięce...

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

## NEKROLOGIA.

### Marya Ursyn-Rusiecka.

Dnia 27 marca r. b. zmarła w Warszawie ś. p. Marya Ursyn-Rusiecka. Urodzona w 1835 r. w majątku Blichowie, położonym w ziemi płockiej, z ojca Ignacego Hlebickiego-Jozefowicza, Radcy Dyrekcji głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, i matki Róży z Sumińskich, weszła w związek małżeński d. 25 października 1853 r. z Józefem Rusieckim, właścicielem dóbr Trojanka, na Podolu.

Już w pierwszych latach życia samodzielnego spotkały ją ciężkie ciosy; pierwsze jej bowiem dzieci schodziły do grobu: po ostatnie lata sędziwego życia swojego ś. p. Marya zapomnieć nie mogła zgonu pierworodnego syna. A kiedy wreszcie następne dzieci zachował jej Bóg przy życiu, i wtedy nie zaznała spokoju. W tym właśnie czasie wybuchły niepokoje na Ukrainie 1862 roku. Kozactwo otoczyło dwór i, przerywając komunikację z oficynami, w których mieszkali dzieci, zażądało wydania starej zbrojowni; znane były bowiem zbiory starożytnicze męża zmarłej Józefa z Trojanki. Łatwo wyobrazić sobie, ile przez te ciężkie chwile wycierpieć musiała zmarła.

Umilowana przez męża, dla którego była gwiazdą życia i szczęściem, owdowiła w kwiecie wieku. Po śmierci małżonka przeniosła się z Ukrainy do Warszawy. Wkrótce otworzyły się jej salony przy ulicy Mazowieckiej, od pierwszej chwili otaczane dziwną sympatią, tak iż nieraz ponad rozmiar swój były wypełnione wytwornem, istotnie wyższem towarzystwem miasta naszego.

Zmarła odznaczała się wielką skromnością życia. Nic w niej nie było wyniosłości. Cicha była, łagodną, wyrozumiałą, a nadewszystko była dobrą. W każdym jej czynie przebijała słodycz



Marya Ursyn-Rusiecka.

i dobroć. Pełną była poczucia piękna; kochała naukę, sztukę i ceniła ich przedstawicieli. Zwłaszcza muzykę miłowała wielce. Dom jej był ogniskiem, gromadzącem bez różnicy bliższą i dalszą rodzinę, zamożną i uboższą. Tu się koncentrowały interesy całej rodziny, tu się odbywały narady, decydo-

wały postanowienia. Nie tylko więc dla dzieci własnych była matką i opiekunką, ale dla całej rodziny, a nawet służby. Dla wszystkich miała miłość, niósła im nadzieję, była dla nich osłodą w życiu.

Mąż zmarłej, ś. p. Józef z Trojanki, gromadził, nie szczędząc grosza ani czasu, zabytki z przeszłości naszej.

Ś. p. Marya umiała się cieszyć każdym nabytkiem, jak świadczą dawne opisy zbiorów w Trojance, które mamy pod ręką. Nabrała była też ś. p. Marya pewnej wprawy w rozpoznawaniu numizmatów, zaś przedmioty, które wybrała, lub pochwaliła, miały uznanie u znawców fachowych.

Nadmienimy, że zbiory z Trojanki, po mężu ś. p. Maryi, powiększone przez syna jej Stanisława, przekazane zostały przez niego Muzeum Narodowemu w Krakowie i że znajdują się wśród nich zabytki pierwszorzędnej wartości, jak relikwiarz z XII w., zbiór dyplomów, od XIII wieku począwszy, cenna galeria obrazów, zbiór makat, porcelany, bronzów i t. p.

Los nie szczędził ś. p. Maryi ciosów i w wieku późniejszym: przecierpieć musiała śmierć zięcia, ś. p. Józefa Narbutta, a przed czterema miesiącami zgon jedyne dziecko córki swej, Michaliny Narbuttowej—28 letniego wnuka.

Zmarła pozostawiła więc tylko leciwego a bezzennego syna, Stanisława z Trojanki, właściciela dóbr na Ukrainie, córkę wdowę, Michalinę Narbuttową z Promiezia w Suwalskiem, i córkę Maryę, zamężną za p. Henrykiem Dzierżanowskim ze Zbójna w ziemi płockiej, a z tych ostatnich jedynego wnuka Michała.

Cześć pamięci jasnej postaci Maryi.





MAUZOLEUM Ś. P. MATYLDY SAWICKIEJ.

## SZTUKA W PRZEMYŚLE.

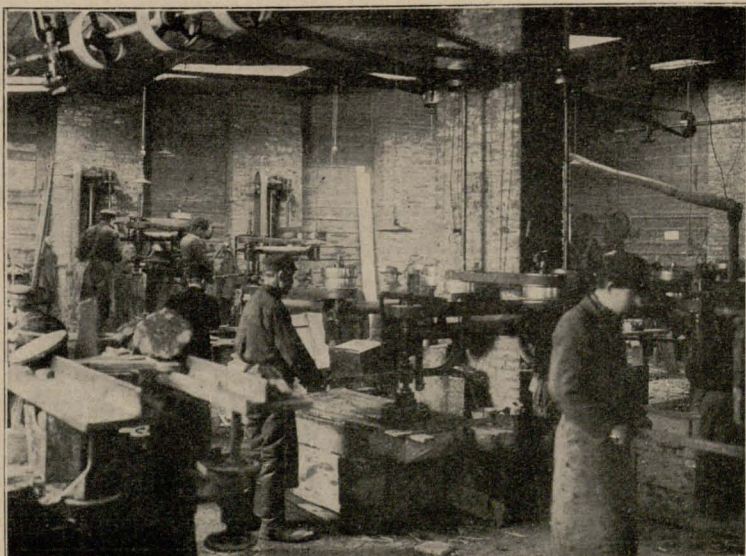
O ile koniec XVIII i początek XIX stulecia w każdej dziedzinie nosiły jeszcze cechę wybrednego smaku Stanisławowskiej epoki, o tyle w latach późniejszych zapanował pewien, że tak powiem, marazm estetyczny, zanik dobrego gustu, a co gorzej, tej solidności, stanowiącej nieodłączne piętno każdej dobrze wykonanej sprawy czy rzeczy.

Ujemny ten objaw uwydatnił się zwłaszcza w przemyśle. Korzystająca lata długie z ulg celnych tandeta niemiecka podkopała rynki zbytu istniejących już przedsiębiorstw, a nie dała wzrość młodemu przemysłowi polskiemu. Szablon wyrugował smak estetyczny, pozory wytworności—samą wytworność. Zatarło się piękno, dobroć wyrobu, pewien, że tak powiem, indywidualizm przedmiotu ustąpił miejsca fabrykatom lichym i nawet nie tanim, jeżeli się weźmie pod uwagę istotną ich wartość. Taka polityka ekonomiczna okazała się zabójczą dla produkcji

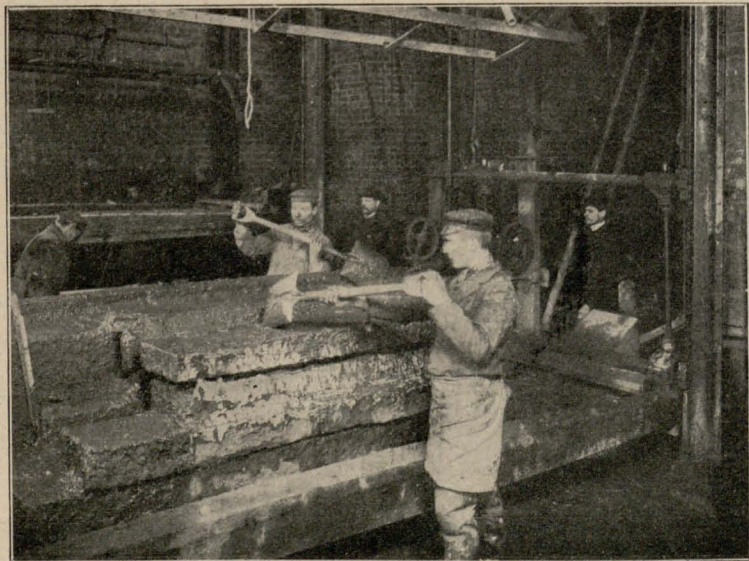
krajowej. Niektóre odłamy przemysłu nie tylko rozwijać się, ale i istnieć w takich warunkach nie mogły. Ważnym tego ujemnego stanu dowodem był przemysł kamieniarstwa zdobniczego. Kraj, który przed wiekami stawiał sobie i u siebie kolumny Zygmunta, co jeszcze w początkach XIX w. budował artystyczne w Powązkowskim Ogrójcu mauzolea i pomniki, co kunsztownymi ciosy i marmury zdobił wnętrza swych świątyń i dworzyszcz, ograniczyć się musiał w potrzebach swego smaku do szablonowej struktury niemieckich pierwowzorów fabrycznych, do wytwórczości ręcznej, kosztownej, gdyż wszelka konkurencja została uniemożliwiona. Wszelkie wysiłki indywidualne w tym kierunku nie pomogły; najlepsze siły krajowe skazane były na bezczynność. Dopiero ze zmianą polityki celnej, z chwilą zwiększenia cła ochronnego od pomników i granitów polerowanych, skończył się letarg ekonomiczny, czekające sposobnej

chwili siły stanęły do apelu, stracone nie ze swej winy zaczęto odzyskiwać. I odzyskano.

Jedna z pierwszych sięgnęła po tradycyjne laury kamieniarstwa polskiego zasłużona już, mimo ciężkich warunków, firma J. Norblin i S. Bartmański, przekształcając dotychczasowe warsztaty ręczne na zakłady mechaniczne o specjalnych maszynach do rżnięcia, polerowania i toczenia granitów i marmurów, stawiając swe przedsiębiorstwo na stopie pierwszorzędnej. Głównym czynnikiem przekształcenia było umiejętne dobranie się dwóch ludzi, którzy przyjęli, jako zasadę, połączenie piękna z proporcją i harmonią. Pan Stefan Bartmański bowiem, obdarzony wrodzonym smakiem estetycznym, rozpoczął studia w szkole sztuk pięknych w Krakowie, poczem dopiero wyjechał do Friedeburgu do szkoły przemysłowej, w celu przyswojenia sobie najświeższych zastosowań techniki na polu robót kamieniarskich, czego dowodem było



POLEROWNIA.



TARTAKI.

zaprowadzenie w swojej fabryce nieznaney u nas polerowni granitu.

Towarzysz pracy p. S. Bartmańskiego, p. Józef Norblin, wychowanec politechniki drezdeńskiej, architekt, nie tylko, jako taki, doskonale posiada swą specjalność, lecz głęboko odczuwa całą proporcję i harmonię, jakie bezwzględnie winny panować w sztuce, poświęconey przeważnie pamięci zmarłych.

Przytem jedynie architekt może umiejętnie zastosować formy odpowiednio do materiału, z jakiego daną rzecz należy wykonać, bo kształty i linie jedne i te same nie mogą się nadawać do różnorodnych materiałów, jak piaskowiec, marmur lub granit.

Spokój linii grobowców i powaga muszą być uwzględnione na pierwszym planie. A widać to odrazu ze skromnych, a pięknych pod względem harmonii linii grobowców ś. p. Maryi z Ungrów Michałowskiej i ś. p. Jana Święcińskiego.

Do osobliwości niezwykłych u nas w kraju zaliczyć także wypada mauzoleum ś. p. Matyldy Sawickiej. Rzeczywiście, mauzoleum to zwraca uwagę każdego i ze względów technicznych, całe bowiem, nie wyłączając dachu, wykonane jest z granitu.

Podstawowy materiał produkcji zakładów J. Norblin i S. Bartmański stanowi granit. Przerabiają go rocznie poważną cyfrę 150 kub. met.

Z tego przeważnie materiału stanęły grobowce: inżyniera Kierbedzia, Edwarda Czabana, generała Mac-Donalda, rodziny Hochów, Adolfa Goldfedera, Tepliców, Ludwika Grabowskiego, znanego hodowcy koni, Julianowej Wieniawskiej, senatora Bielskiego i wiele innych.

I nie tylko Warszawa, lecz cała prowincya, a zwłaszcza Łódź, zawdzięcza piękniejsze pomniki pomienionej firmie, że wspomnę choćby grobowiec Landaua, Le-



POMNIK RODZINY MAC-DONALDÓW.

wenbergów, Fränklów, Wolfsohnów, Karola Scheiblera i świeżo budujący się rodziny Benichów.

Dziś zakłady mechaniczne J. Norblin i S. Bartmański stanęły poza wszelką konkurencją, bo, niezależnie od szeregu mauzoleów i pomników, firma wykonała roboty granitowe przy pomnikach Mickiewicza i Kopernika, a z ciosu roboty przy przebudowie frontonu Katedry Św. Jana, przy kościele Zbawiciela, Towarzystwie Sztuk Pięknych, mauzoleach rodziny Kronenbergów, hr. Przeździeckich, Hotyńskich.

Zakłady mechaniczne J. Norblin i S. Bartmański, rozłożone na dużej przestrzeni przy ulicy Dzikiej Nr 71, zatrudniają, oprócz przygodnych, 60-ciu z górą pra-

cowników, wykwalifikowanych wszechstronnie.

Własna gazownia porusza dwa motory o sile 60-ciu koni, które stanowią siłę, poruszającą dynamomaszynę do oświetlania fabryki, 18-ście szlifierek, jedną maszynę do złożenia gzymsów i dwa tartaki do rżnięcia brył granitowych na tafle, z których jeden na 60, drugi zaś na 40 pił, oraz maszynę pośpieszną do przecinania bloków granitowych z szybkością jednego metra na 10 godzin, co jest największą wogóle wydajnością, przy tarcu granitów osiąganą.

Dodam tu w formie wyjaśnienia, że samo piłowanie granitów odbywa się za pomocą piasku stalowego, zaś piły bezzębne służą jedynie do wywierania nacisku.

Tak umontowana fabryka zwalczyła konkurencję zagraniczną, rywalizując z nią nawet na dalekich rynkach Cesarstwa, jak w Odessie, gdzie mauzoleum ks. Gagarynow wyszło z pod dłota polskiego.

Nagrody: medal złoty w Paryżu i także odznaczenie na wystawie w Londynie (1906 roku)

utrwały firmie zasłużoną markę.

Nic więc dziwnego, że, przy takim kierunku i nakładzie, zakłady J. Norblin i S. Bartmański zajęły pierwszorzędne stanowisko, rozwijając i powiększając z roku na rok swą produkcję, a przytem dają dostatni kawałek chleba swym pracownikom, którzy przeciętnie zarabiają dziennie, według wykazu urzędowego, 2 ruble 94 kopiejek, kamieniarze zaś do 4 rub. 50 kop.

Te cyfry są wymownym dowodem pracy, wytrwałości i energii dzielnych kierowników firmy.

Praca i znajomość zawodu zawsze wydaje owoce.

R. OKSZA.



BLOKI GRANITOWE.



BLOK GRANITOWY, WAŻĄCY 16,500 KI.

NADESŁANE.

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.  
**APTEKA E. GESSNERA**

27. Jerozolimska 27  
w Warszawie

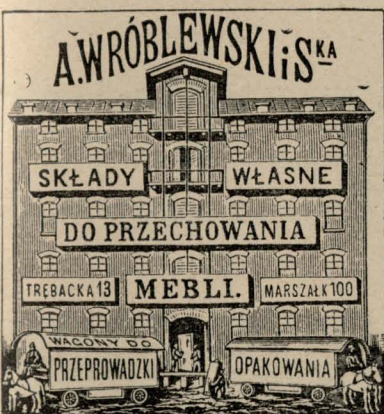
# TRANY LEKARSKIE

z jodem — jodkiem żelaza, żelazem, fosforem i wiele innych.

**WYDZIAŁ SKŁAD FABRYCZNY  
MEBLI GIĘTYCH**

## BRACI THONET

w Wiedniu. **Warszawa, Marszałkowska 141**  
poleca w wielkim wyborze **MEBLE**. Artykuły sportowe.



### DLA CAŁUSA

jest stworzoną delikatną, czystą twarz o rumianym, młodociano-świeżym wyglądzie, białej, jak jedwab miękkiej skórze i oślepiająco-pięknej cerze bez piegów i skórnych nieczystości, używajcie zatem tylko prawdziwe **Mydło z mleka liliowego „Konik“** wyrobu **Bergmann & Ska, Radebeul-Drezno**. Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rosyjskie: **Biuro chemicznych preparatów, St.-Petersburg, Newski 28, dom Singera.**

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**  
Browaru  
poleca **PIWO PILZEŃSKIE**.



**ZDROWIE** niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele **WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO** p. t. **„ROZWÓJ POTĘGI WOLI“**, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

### SRODKI do ZĘBÓW

ELIKSIR, PROSZEK i PASTA  
Ojców  
**BENEDYKTYNÓW**  
Opactwa SOULAC

**WAŻNA UWAGA:**  
Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podróbione.

MODEL FLAKONU

Dostać można wszędzie.

## KALODONT

NIEZBĘDNY  
**KREM DO ZĘBÓW**  
zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON**

Owoc przeczyszczający PRZECIW **OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.  
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”  
mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.  
**piękne artystyczne teczki**  
do albumu „**DUCH REWOLUCYONISTA**” A. Kamińskiego  
po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.  
Do cyklu „**BOŻY ROK**” Piotra Stachewicza  
po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36  
przesła na własność **GEBETHNERA i WOLFFA**.

**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

Najlepsza Pasta do Obuwia **„INTRYGANT”** żądać wszędzie  
**H. Trembińskiego**

Złoty medal 1908  
Srebrny medal 1908

**Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzeiowych T. & W. Krakowscy** Magazyn—Warszawa,  
Aleje Ujazdowskie 16. Tel. 70-10

**L. Lipiński** { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } **Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuterya złota i srebrna w najnow-**  
{ WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, } **szych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.**

**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecony dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.  
**PIEGI** pryszczę, plamy i liszaje usuwa kremem VENUS idealnie skuteczny środek.  
**AGATOL** proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.  
Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa. Krak.-Przed. 12



**IDEALNY POKARM**

dla niemowląt i dla dorosłych,  
dotkniętych chorobą żołądka.

HURTOWY I DETALICZNY  
SKŁAD SUKNA I KORTÓW  
**LEONA MESSINGA**

**MIODOWA № 7**

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na  
provincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

KSIĘGARNIA  
**GEBETHNERA i WOLFFA**

w Warszawie

poleca:

**WYBÓR POEZJI**

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i po-  
większone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH**  
EKSTRAKT I KARMELKI

**LELIWA**

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Rynek głów. Ilnia AB róg ul. Floryańskiej  
**KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI**

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

**Od Administracyi.**

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie  
i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę pre-  
mium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., **album**

**„Duch-Rewolucjonista” Antoniego**  
**Kamińskiego**

Cena albumu broszuowanego Kor. 5.— (rb. 2)

„ „ w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)

Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

**ODPOWIEDZI.**

*P. St. Rajczykowskemu.* Możemy  
polecieć Sz. P. dziełko p. Fr. Kuśnier-  
skiego, kierownika warsztatów stolar-  
skich szkoły technicznej Wł. Piotrow-  
skiego, p. t. „Kurs stolarstwa, podręcz-  
nik dla szkół technicznych, rzemieślni-  
czych i amatorów” (Warszawa, 1908,  
cena kop. 75).

*Dawnej Lubliniance.* Za serdeczne  
słowa życzliwości i zachęty składamy  
najgorętsze podziękowania. Dołożymy  
wszelkich starań, by i na przyszłość  
numery *Tygodnika* wzbudzały równe  
zaciekawienie. Wiersz Gabryeli p. t. „Głos  
Pański w więzieniu”, zaczynający się od  
wyrazów: „Tęskniąca, niespokojna, w

nadziei zachwiana, z celi mojej wię-  
ziennej wołam ja do Pana”, ukazał się  
w druku w „Listach do rodziny i przy-  
jaciół” (Warszawa, 1906—1908, Gebethner  
i Wolff), w tomie I, str. 376—380.

*P. Floryanowi Remb. w Piotrkowie.*  
Wiersz p. t. „Sen”—poprawny, ale nic  
ponad to. Nie dla nas.

*P. Kołb...* Wiersz, jako wiersz, bar-  
dzo słaby, nie mówiąc o błędach or-  
tograficznych: *bójać* (zam. „bujac”),  
*źrudło* (zam. „źródło”), *przespaża* (zam.  
„przysparza”), *obtogóją* (zam. „odto-  
gują”).

*Prenumeratorowi Tygodnika w Kra-  
kowie.* „Chwalcie łaki umajone”... nie  
jest pozbawione wartości literackiej,  
ale na wysokości naszych wymagań nie  
stoi.

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

**SAGRADA BARBER**

wzmacnia żołądek  
i łagodnie przeczyszcza

**LUDWIK SZUFA**  
**KRAWIEC**  
KRAKÓW TELEFON 671



*Ciekawemu.* J. Ochorowicz mieszka  
w Wiśle, poczta Ustroń, Galicya.

*P. Tadeuszowi B. w Wiedniu.* Wiersz  
Pański, choć nie pozbawiony pew-  
nej szczerości, nie wolny jest od po-  
ważnych usterek wersyfikacyjnych, jak  
np. złamanie rytmu. Nie skorzystamy.

*S. Fragmentów „W noc świętojań-  
ską”* nie zamieścimy z powodu braku  
miejsca.

*P. Edwardowi N.* Nie wydruku-  
jemy z powodu przepełnienia teki re-  
dakcyjnej.

*Długoletniemu prenumeratorowi z uli-  
cy Wspólnej.* 1) Poe. Nowele, przekł.

Winc. Dąbrowskiego, Lwów, 1897, Bi-  
blioteka Mrówki, cena 20 centów (wy-  
czerpane); 2) Faleński. Przekłady, tom  
I w r. 1878 (drukowano 100 egz., w han-  
dlu księgarskim nie było), tom II w r.  
1892, cena rub. 2.25; 3) Shelley. Sere-  
nada indyjska, Smutek w przekł. A. Lan-  
gego (Przekłady poetów obcych, 1899,  
2 tomy, cena kop. 50); 4) Swinburne.  
Tryady. Pielgrzymi w przekł. A. Lan-  
gego (Przekłady poetów obcych, j. w.)

*Z. 201. „Sonetów pijackich”* n  
wydrukujemy, są poważne usterki formy.

*H-man.* Oba wiersze bardzo słabe  
W koszu!

*Z. H. B.* Adres p. M. Gawalewi-  
cza, Warszawa, Wielka 23. P. Dmow-  
ski bawi zagranicą, wraca za 6 tygod-  
ni, adres: Zgoda 9. Adres J. Weysen-  
hoffa, Chmielna 31.

**Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE Nr 15 Tel. 21.90**

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.